

KARTY HISTORII

STEFAN DAMBSKI

# EGZEKUTOR

WSTRZĄSAJĄCA SPOWIEDŹ ŻOŁNIERZA AK,  
WYKONAWCY WYROKÓW ŚMIERCI

LITERATURA FAKTU PWN

Ośrodek Karta

## SPIS TREŚCI

[Od Wydawcy](#)

[Wejście](#)

[Dywersant](#)

[Roboty](#)

[Czas „Burzy”](#)

[Pod Sowietami](#)

[Powrót](#)

[Na Ukraińców](#)

[Fiołkowie](#)

[Wyjście](#)

[Wokół Egzekutora](#)

## OD WYDAWCY

PRZEDSTAWIAMY świadectwo bolesne. Zaskakującą, paradoksalną na pozór opowieść o człowieku, który stając w szeregach Armii Krajowej, znalazł się w roli kata. Paradoks bierze się stąd, że Autor mógłby się przedstawiać jako bohater walki z okupantami, gotów do oddania życia za Ojczyznę, a tu racją jego pisania okazuje się i samooskarżenie, i chęć zakwestionowania bohaterstwa jako takiego. Tytułowy Egzekutor pyta w swym tekście po latach, czy stał się mordercą...

Zgrzebny 177-stronicowy wydruk komputerowy - będący jedyną formą tego zapisu - trafił do Ośrodka KARTA w roku 2005, przechowany przez Krystynę Dąbmską-Nichols i Aleksandra Dąbmskiego, stryjeczne rodzeństwo Autora. Tekst nie ma zakończenia, przerwany został w pół zdania. Samobójcza śmierć Egzekutora 13 stycznia 1993 w Miami (USA) uniemożliwiła dopełnienie świadectwa. Wydaje się ono jednak całościowe, urwane w samym tylko finale.

To ważne, kim był Stefan Dąbmski w opisanym przez siebie okresie - nastolatkiem. Urodził się 3 grudnia 1925 (w Nosówce). W 1942 roku, gdy wstępował do AK, miał 16 lat. A gdy w lipcu 1945 znalazł się w jednym z pierwszych przerzutów zdekonspirowanych żołnierzy swej kompanii na

Zachód - nie miał skończonej dwudziestki. Swoje wspomnienia spisywał w ciągu kilkunastu ostatnich lat życia, jako człowiek w pełni dojrzały, potrafiący już z dystansu spojrzeć na własne doświadczenie. Choć z pewnością nie dość ułożony ze światem.

Powojenne losy Autora - raczej ponure. Rodzina rozproszona - matka Stefana (prowadząca majątki w Nosówce i Dylągówce) zmarła już w 1934 roku; ojciec hrabia Kazimierz Dąbski nie zajmował się synami, wiosną 1939 wyjechał do Kolumbii, a w latach 1947-52 był redaktorem naczelnym „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku. Bracia Stefan i Stanisław, którymi od śmierci matki zajmowała się niezamężna ciotka, rozstali się po wojnie. Stefan, po znalezieniu się w zachodniej strefie okupacyjnej Niemiec, służył w kompanii wartowniczej niedaleko Norymbergi. Stanisław, w związku z ucieczką Stefana z Polski, został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa - po wyjściu z więzienia w 1948 roku zmarł na gruźlicę w wieku 26 lat.

Autor w końcu lat 40-tych grał zawodowo w piłkę nożną. W roku 1950, z pomocą swego ojca, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, mieszkał w Chicago, a od roku 1976 w Miami. Nie mógł znaleźć sobie miejsca - zajmował się doraźnymi pracami (w transporcie, w handlu) jako siła niewykwalifikowana, często zmieniał pracę. Był dwukrotnym

rozwodnikiem, jego jedyna nieżyjąca już córka po dojściu do pełnoletności nie utrzymywała z nim kontaktów.

W 1975 roku Stefan Dąbski odwiedził Polskę, widział się ze swym bratem stryjecznym Aleksandrem na Śląsku, afiszował się wtedy swym amerykańskim sukcesem, jednocześnie bojąc się w Polsce aresztowania. W latach 70-tych zaczął też spisywać wspomnienia, co musiało być trudnym doświadczeniem. Był nieuleczalnie chory na raka. W 1993 roku zabił się, strzelając sobie w głowę.

Po raz pierwszy obszerne fragmenty *Egzekutora* ogłosiliśmy na początku 2006 roku w „Karcie” 47. Tekst zrobił ogromne wrażenie, zaszokował wielu czytelników, niemogących uwierzyć, że to zapis faktów, a nie autorska kreacja. To świadectwo żołnierza oddziału dywersyjnego AK na Rzeszowszczyźnie, wykonującego wyroki śmierci, wywołało wielkie poruszenie w środowisku Światowego Związku Żołnierzy AK. Dochodziły do nas głosy, z różnych stron kraju, że koła ŚZZAK organizują na ten temat specjalne dyskusje. Dominowała tonacja: zapis jest prawdziwy, ale w odrodzonej wolnej Polsce nie powinien się ukazywać, bo niszczy pamięć o jej obrońcach.

Kierownictwo ŚZZAK postanowiło oficjalnie

zareagować na tę publikację. Prezes Czesław Cywiński przesłał stanowczą prośbę, aby „Karta” ogłosiła - jako rodzaj sprostowania - list przygotowany w imieniu Związku; to pismo kpt. Mieczysława Skotnickiego „Głoga”, przewodniczącego Koła ŚZZAK w Tyczynie, nas z kolei wprowadziło w zdumienie. List ten wydrukowaliśmy w „Karcie” 49 wraz z odpowiedzią dr. hab. Grzegorza Ostasza, historyka specjalizującego się w tematyce podziemia zbrojnego na Rzeszowszczyźnie. Na końcu książki przedstawiamy wszystkie listy, które do nas w tej sprawie dotarły oraz całościowy komentarz dr. Ostasza.

Mieczysław Skotnicki, podważając wiarygodność opisu kilku akcji dywersyjnych z udziałem Egzekutora, doszedł do śmiałej konkluzji, że Dąbski być może w ogóle nie był żołnierzem tego ani podobnego oddziału. Na te sugestie wystarczająco zareagował Grzegorz Ostasz, dowodząc, że próba całościowego zakwestionowania *Egzekutora* nie może się powieść. Najbardziej nas jednak zaskoczyło usiłowanie kpt. Skotnickiego, by udowodnić, że Dąbski to nie aż taki bohater, za jakiego się podaje, gdyż wiele bohaterskich czynów, które sobie przypisał, zostało w istocie dokonanych przez innych żołnierzy podziemia. zostało w istocie dokonanych przez innych żołnierzy podziemia.

To niezrozumienie przekazu wydaje się bardzo charakterystyczne. Skuteczne zabijanie wrogów (szczególnie silniejszych) wciąż jest postrzegane jako wyraz najwyższego bohaterstwa okresu II wojny - w ten sposób buduje się etos tamtej walki o polską niepodległość; tak też najczęściej rozumie się dzisiaj celny strzał w stronę okupanta, konfidenta, zdrajcy... A Stefan Dąbski strzelał wyjątkowo skutecznie. Jednak właśnie on odebranie mu „czynów bohaterskich” przyjąłby jako łaskawe odpuszczenie win. Autor wyraźnie bowiem nie próbuje stawiać sobie pomnika - w wielu miejscach jego zapis staje się po prostu gorzką spowiedzią.

Po co pisał? Najwyraźniej z niezgody na rozpowszechniony obraz wojennego bohaterstwa. Z poczucia winy (co mocno poświadcza jego rodzina), że pozbawił tylu ludzi życia - często przy braku wyraźnych rozkazów, czasem niezgodnie z rozkazem, a bywało, że zupełnie przez przypadek. Mógł pozostać, jak inni, za wygodną fasadą działań heroicznych i poniesionych ofiar, nie ogłaszając swoich wątpliwości co do biegu zdarzeń. Pisał jednak, w przekonaniu, że wojna powinna być przestrogą, nie zaś... zachętą do bohaterstwa.

Tym razem podajemy tekst znacznie pełniejszy, z wieloma opuszczeniami. Pomijamy tylko te fragmenty, które nie dotyczą wprost relacjonowanych

działań, są powtórzeniami lub mają charakter zbyt odległych dygresji (skrótów zaznaczamy). Chropawy i nieco pospieszny zapis wymagał pracy redaktorskiej, ale całość ma ściśle autorski charakter. Wydaje się, że Stefan Dąbski pisał świadomie, w przekonaniu, iż zostawia świadectwo o historycznym znaczeniu.

Publikujemy *Egzekutora* licząc, że III Rzeczpospolita gotowa jest już do przyjęcia jego prawdy. Dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości Polskę stać na zmierzenie się z taką odsłoną patriotyzmu. Musi przyjąć spowiedź ówczesnego nastolatka, którego w jej imieniu posyłano z bronią w rękę do zabijania innych. Inaczej nie byłaby na miarę tych Pomników i Muzeów, które swym obrońcom wystawia.

Zbigniew Gluza  
Wrzesień 2010



# WEJŚCIE



Rabka, 1938. Trzynastoletni Stefan Dąbski. Fot. ze zbiorów rodzinnych

ZDAJĘ sobie sprawę, że te wspomnienia prawdopodobnie nigdy nie ukażą się na półkach księgarskich. Już minęło tyle lat, kiedy opuściłem swój kraj rodzinny i zacząłem swoją tułaczkę, po różnych obcych krajach, nie mogąc powrócić do tej Polski, o której wolność kiedyś walczyłem.

Przeżyłem wojnę, ale z moich pierwszych trzystu chłopców, którzy byli ze mną w roku 1942, żyje dziś tylko kilkunastu. Trzech umarło już na wolnej ziemi amerykańskiej, reszta poległa na „polu chwały”, wielu przy moim boku. Tylko dwóch z tych, co polegli, miało ponad dwadzieścia lat.

Czas mija szybko, nie zostało mi już wiele czasu. Co kilka lat spotykam się z weteranami z Armii Krajowej w Chicago. Rozmawiamy szeptem o dawnych czasach. [...] O tych przeżyciach partyzanckich się nie mówi. Nie chce mi się wierzyć, że tak wielka część polskiej historii z II wojny światowej może przepaść bezpowrotnie. Tyle krwi polskiej przelanej, i za co? Ci młodzi ludzie, co umierali codziennie obok mnie - nie mieli rodzin, nie mieli nazwisk, zapominało się o nich już następnego dnia. „*Ty dzisiaj, a ja jutro*” - mówiło się wtedy. [...]

Mój pseudonim z czasów wojennych to „Żbik I”. Zajmowałem stanowisko dowódcy drużyny, w ciągu czterech lat służby doszedłem do stopnia

plutonowego. Należałem do dwóch jednostek AK: w konspiracji należałem do oddziału „Józefa”(\*) w Drugiej Placówce Rzeszowskiej, której komenda kwaterowała w Nieborowie; po akcji „Burza” zostałem przeniesiony do kompanii „D14”, czyli 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich AK, wchodzącego w skład zgrupowania oddziałów lwowskich „Warta”. Byłem odznaczony Krzyżem Walecznych, cenilem to sobie bardzo, głównie dlatego, że ten Krzyż był przyznany tylko czterem chłopcom z naszego oddziału (o Virtuti Militari w Czternastce się nie słyszało).

**{\* Mieczysław Chendyński (1901-1954) - od początku 1941 roku zastępca, a następnie dowódca Placówki AK Hyżne, od maja 1944 zastępca komendanta Podobwodu AK Rzeszów- Południe. Podczas akcji „Burza” dowódca oddziałów 11 Zgrupowania Rzeszów-Wschód.}**

Posiadam „Stwierdzenie Weryfikacji” No. L. dz. 279/47, wydane przez Samodzielny Referat Likwidacyjny dla spraw żołnierzy Armii Krajowej na terenie amerykańskiej okupacji w Niemczech, podpisane przez kierownika Referatu, majora Kazimierza Piotrowskiego.

DO AK ZACIĄGNAŁ MNIE mój dobry przedwojenny znajomy [Stanisław Pałac], starszy ode mnie, który miał w konspiracji stopień

podporucznika. Nie należał do Czternastki, która w moje tereny rzeszowskie przyszła dużo później, ale do Drugiej Placówki „Józefa”. Miał pseudonim „Stach”. On był moim bezpośrednim dowódcą i „kontaktem”. On odebrał ode mnie przysięgę w małej wiejskiej chacie, przy zapalonej na Biblii świeczce.

Dopiero dwa tygodnie po zaprzysiężeniu spotkałem się po raz pierwszy z naszymi chłopcami z konspiracji. Byłem raczej zawiedziony. Nie nosili broni. Nie przechodzili żadnych ćwiczeń. Ich zadaniem było tylko przenoszenie meldunków. Od tego i ja zacząłem.

Wstąpiwszy w szeregi AK spodziewałem się więcej akcji i emocji, marzyłem o sławie. A tu przez pierwsze trzy miesiące nic się nie dzieje. Co dwa dni wyruszałem z meldunkami, które wybierałem spod jednego kamienia po to, aby je zanieść i włożyć pod kamień, który znajdował się 15 kilometrów dalej. [...]

Mieszkałem wtedy na wsi z bratem i ciotką, zacząłem marzyć o tym, aby wyjść z domu i przenieść się do dywersji. Wiedziałem, że czekają mnie ciężkie warunki w lasach, ale czułem też, że będę tam miał życie urozmaicone i pełne mocnych wrażeń, których tak zawsze szukałem. Powziąć decyzję było łatwo, ale dostać się do dywersji to była inna sprawa. O „Józefie” już słyszałem, ale dostępu do niego nie miałem żadnego ani też nie wiedziałem,

gdzie go szukać. Przyszedł mi z pomocą czysty przypadek.

MIAŁEM W TYM CZASIE kolegę Jurka. Chłopak do tańca i do różańca. Ciekawe, że choć sam do AK nie należał, jakoś zawsze akowców sobie za kumpli dobierał. Aż tu bomba wybuchła! Któregoś popołudnia przychodzi do mnie „Stach” i mówi, żebym uważał, co mówię do Jurka, bo się okazało, że co tydzień regularnie widuje się z Gestapo. Prosił mnie, żebym tymczasowo widywał się z Jurkiem jak poprzednio, aż do przyścia chłopców z dywersji, którzy wykonają likwidację.

Zobaczyłem natychmiast swoją wielką szansę. Powiedziałem „Stachowi”, że mam schowany u siebie pod łóżkiem polski kbk i poprosiłem, żeby mi pozwolił wykończyć Jurka. Mówiłem, że proponuję mu polowanie na sarny, na które rzeczywiście po kryjomu polowałem, i sprawa załatwiona. Z początku „Stach” ani słyszeć o tym nie chciał, tłumaczył, że nie mam doświadczenia, że jak Jurek coś wyczuje, to może być duża wsypa, że to „chłopak kuty na cztery nogi”. Po godzinnej perswazji zgodził się na wszystko, choć niechętnie.

Po wyjściu „Stacha” odetchnąłem głęboko. [...] Nie przyszło mi jakoś do głowy, że za parę godzin mam zastrzelić człowieka, że muszę pozbawić życia nie dość, że istotę ludzką, to w dodatku swojego

kolegę, z którym niejedną flaszkę samogonu się wypilo. Uważałem to widocznie za rzecz zupełnie normalną, za rzecz, która musi być zrobiona, za spełnienie zwykłego patriotycznego obowiązku. To, że zgłosiłem swoje usługi ochotniczo, nie było ważne.

Na drugi dzień po mojej rozmowie ze „Stachem” przyszedł Jurek. Ciotka poszła na plebanię. Byliśmy sami w mieszkaniu. Jurek, wesół jak zawsze, opowiadał mi nowiny z ostatnich dwóch dni. Wyciągnąłem z szafy buteleczkę, nalałem do szklanek i uderzyliśmy w gaz.

Gdy porządnie już poweselał, zacząłem się delikatnie przyznawać, niby to po pijanemu, jak bardzo się kocham w myślistwie, że mam nawet w domu ukryty karabinek i jeżeli ma ochotę, to z przyjemnością jeszcze dziś wieczorem go wezmę na rogate. [...] Zgodził się od razu. Obejrzał mój karabinek z podziwem, pochwalił, że jest tak dobrze utrzymany, jakby dopiero co wyszedł z fabryki. Wypiliśmy na drogę strzemienne, karabinek wziąłem pod pelerynę i za niecałe pół godziny wkroczyliśmy na pierwszą leśną ścieżkę.

Szedłem pierwszy, z bronią gotową do strzału. Przypomniały mi się teraz ostatnie słowa „Stacha”: „*A nie zapomnij przeczytać mu wyroku, niech wie, za co ginie!*”. Zacząłem też sobie przypominać

słowa tego wyroku: „Z ramienia Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i z ramienia Dowództwa AK...”. Bzdura - pomyślałem - akurat mu teraz wyrok do szczęścia potrzebny!

Minęliśmy drugą z kolei leśną polanę. Znałem tu każdy kąt, każde drzewo. Obróciłem się szybko. Jurek szedł dziarskim krokiem, uśmiechnięty. Z tak bliskiej odległości nie musiałem celować. Strzeliłem błyskawicznie spod pachy. Jurek zrobił jeszcze jeden krok do przodu, uśmiech zamarł mu na ustach i bez słowa runął jak kłoda na ziemię.



## DYWERSANT

MINEŁY dwa tygodnie i już byłem w dywersji. „Stach” wszystko załatwił. Zostałem przedstawiony samemu „Józefowi”. Krótki raport o mnie, same superlatywy. Jestem w siódmym niebie. Dostaję się do plutonu Józka [Zawory] „Czarnego”. Wspaniały chłopak: zimny, opanowany, mało mówny - mój typ partyzanta. Próbuję go naśladować. Czuję, że mu się podobam.

Nasz pluton ma teraz wiele ćwiczeń w głębi rzeszowskich lasów, blisko Nieborowa. Uczę się strzelać z krótkiej broni. Używam na razie pożyczanego pistoletu, bo ze sobą przytaskałem tylko karabinek; jak się później przekonałem - zupełnie tu nie w modzie. Amunicji jak na lekarstwo, więc tylko przy podstawowych ćwiczeniach wolno jej używać. Każdy marzy o pistolecie maszynowym. [...] Na razie tego typu broni jest mało, używa się jej na czujkach lub pożyczają kolegom idącym na większe roboty.

Jeśli chodzi o mnie, to uzbroiłem się prędzej, niż się spodziewałem. [...]

Siedzę sobie spokojnie na czujce na skraju lasu wraz ze swoim kbk i akurat „Czarny” przyszedł, aby mnie zastąpić. A tu niespodziewanie przylatuje chłopak ze wsi.

– Panowie! - woła zadyszany. - Niemcy są na folwarku w Hyżnem i aresztowali jednego z waszych chłopów!

Do folwarku niespełna kilometr. Biegniemy z Józkiem na całego. Rzeczywiście chłopak z naszego oddziału, poznaliśmy go od razu. To Mietek „Szaj”. Już siedział w mercedesie. Nie miał broni. Niemcy nie wiedzieli, kogo mają, aresztowali go, bo znaleźli przy nim mięso, a samo to wystarczyło, ażeby więcej świata nie oglądał.

Patrząc zza muru budynku, oceniamy sytuację. Dwóch Niemców w mundurach, jeden po cywilnemu i szofer za kierownicą. Cywil stoi przy samochodzie i już żegna się z zarządcą folwarku. Nie ma na co czekać.

Jeden siedzi niebezpiecznie blisko Mietka. Pokazuję go palcem „Czarnemu”. Zrozumiał: za daleko na automat. Biorę go na muszkę karabinu. Celuję w głowę, byle dalej od Mietka. „*Licz*” - mówię „Czarnemu”. Słyszę: „*Raz, dwa, trzy...*”. Pociągnęliśmy równocześnie. Obaj wojskowi lecą na ziemię. Cywil daje nurka w otwarty samochód.

Podbiegamy bliżej pod osłoną drzew podwórzowych. „*Ręce do góry!*” - krzyczę po niemiecku. Obydwaj, szofer i cywil, wstają z podłogi samochodu i podnoszą ręce. Zarządca folwarku stoi

koło maski mercedesa jak skamieniały. Mietek - blady jak ściana, ale cały - wyskakuje z tylnego siedzenia. Ładujemy dwa trupy do samochodu, cywila zabieramy ze sobą. Szofer to Polak - każemy mu jechać polną drogą do lasu.

Po drodze legitymujemy cywila. Niedobrze, wysoka figura. Do dziś pamiętam jego nazwisko - Pillman, Kreislandwirt [kierownik wydziału rolnictwa], najwyższa osobistość w Rzeszowie po burmistrzu miasta. Znała go cała ludność województwa. On wyznaczał „kontyngenty”, on przydzielał *Bezugsscheiny* [talony]. Zdajemy sobie sprawę, że przez niego Niemcy spacyfikują całe Hyżne. Co dziesiąty Polak w tej wiosce zostanie rozstrzelany.

Dojechawszy do skraju lasu, zostawiamy samochód i idziemy do „Józefa” po rozkazy. Zastajemy go przy ognisku. Zdajemy szczegółowy raport. Mietek dostaje za swoje za idiotyczne przejście przez środek folwarku, gdzie stało auto niemieckie. Tłumaczy się, że nie przyszło mu do głowy, że Niemcy zajrzą do worka. No, ale stało się.

„Józef” podjął decyzję. Odprowadzić samochód wraz z szoferem z powrotem do wioski. Dać mu wyraźne instrukcje, które po powrocie do Rzeszowa przekaże swoim zwierzchnikom: Pillman jest cały i zdrowy w niewoli u partyzantów. O ile przez następne sześć miesięcy żadnemu z Polaków w

miejsowości Hyżne włos z głowy nie spadnie, to po tym terminie Pillmana wypuścimy zdrowego.

Plan przeprowadzamy natychmiast. Dwóch chłopców odprowadza szofera wraz z autem do wsi, skąd po udzieleniu instrukcji puszczają go wolno.

Jeden z moich nowych kolegów, „Majeranek” [Kazimierz Stankiewicz], idzie teraz ze mną i Pillmanem w głąb wąwozu hyżneńskiego. „Majeranek” ma łopatę na ramieniu, Pillman idzie półżywy ze strachu, bełkocząc pod nosem niezrozumiałe słowa. [...] Dochodzimy do lasu. Wyjmuję zza pasa parabelkę, która jeszcze parę godzin temu należała do Pillmana, i strzelam mu z odległości pięciu centymetrów w tył głowy. Wspaniała broń, jak cudownie leży w ręce - myślę, patrząc na lecącego na ziemię jak wór piasku Niemca. Jeszcze jeden strzał, tak zwany asekuracyjny, i na zmianę z „Majerankiem” bierzemy się za łopatę.

Niemcy nigdy się nie dowiedzieli, co się stało z Pillmanem. Widocznie czekali według instrukcji te pół roku, a potem było za późno, ażeby pacyfikować wioskę.

MIJAJĄ MIESIĄCE. Przeszła zima, zaczął się rok 1943. Ta ubiegła zima to pierwsza spędzona przeze mnie w „lesie”. Ostatnie słowo piszę w cudzysłowie,

bo właściwie większość nocy spędzałem we wsiach, na kwaterach u chłopaków z konspiracji. To było ryzykowne nie tyle dla mnie, co dla nich. Całe ich rodziny żyły w ciągłym strachu przed aresztowaniem lub śmiercią za ukrywanie partyzantów.

[...] W czasie mojego pierwszego roku w dywersji zginęło około trzydziestu moich najlepszych kolegów. [...] Mieliliśmy wtyczki w Gestapo i w polskiej policji mundurowej. W większości wypadków byliśmy ostrzegani przez tych panów o nadchodzących łapankach do Niemiec lub też wsypach. Ci ludzie byli dla nas na wagę złota. Nie było ich wielu. [...]

Jedną taką drogocenną wtyczką był nie kto inny, jak sam komendant polskiej policji mundurowej w Tyczynie, malutkim miasteczku położonym 8 kilometrów na południowy wschód od Rzeszowa.

Pech chciał, że gdy zostałem wysłany wraz z „Wilkiem” [Janem Gąsiorem] i „Majerankiem” na robotę do Rzeszowa, wstąpiliśmy na śniadanie do jedynej otwartej w tym mieście restauracji, gdzie zamówiliśmy bułki z masłem i zabraliśmy się żywo do jedzenia, popijając kawą. A tu się drzwi otwierają i wchodzi trzech policjantów w granatowych mundurach polskiej policji. Jednym z nich (o czym nie wiedzieliśmy) był sam pan komendant, który - zobaczywszy obce twarze - zdecydował się poprosić nas o dokumenty.

Widząc, że jeden z policjantów położył rękę na pistolecie, wszyscy trzej równocześnie wyrwamy spluwy zza pasów. „Majeranek” jednym strzałem kładzie komendanta, a ja z „Wilkiem” lecimy na podłogę i otwieramy ogień do dwóch pozostałych. Cała ta przeprawa nie trwała więcej niż pięć sekund.

Dopiero dwa tygodnie później, po powrocie do oddziału, dowiedziałem się, że jeden z zabitych policjantów pracował dla AK. [...]

ŻEBY LIKWIDACJĘ przeprowadzić „czysto”, trzeba było mieć nie tylko odpowiednie przygotowanie, ale także talent i uzbrojenie. Ważne było również, aby zawsze chodzić z tymi samymi chłopcami. Ponieważ większość robót nie wymagała więcej jak trzech partyzantów, tworzyło się grupy, które zawsze chodziły razem. W ten sposób taka zgrana trójka znała się świetnie, wierzyła sobie bezwzględnie i - w razie nagłej, alarmującej sytuacji - wiedziała bez słowa, co robić. Również broń musiała być pierwszej jakości, niezawodna. [...]

W drugim roku w partyzantce moim typowym uzbrojeniem, o ile chodziło o roboty w mieście, był zwykły pistolet dziewiątka. Najbardziej lubiłem półautomatyczną parabelkę niemiecką. Bardzo celna broń i gdy się ją utrzymywało w czystym stanie, prawie niezawodna.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, bardzo były niepraktyczne różnego rodzaju bębenkowce. Przychodziły one w różnych wielkościach i kalibrach. Miały one jednak dwie zasadnicze wady, mimo że się nigdy nie zacinały, bo w razie niewypału po prostu przy następnym nacisku na spust przesuwwały bębenek o jedną pozycję dalej i było się w dalszym ciągu uzbrojonym.

Pierwsza to to, że miało się szalenie ograniczoną ilość ognia. Często się zdarzało, że przy pozornie łatwej robocie wywiązywały się komplikacje, w związku z czym, większa ilość strzałów była wskazana. Z bębna można było kroić tylko sześć razy, a co później? Może „ręce do góry”? W przeciwieństwie do automatycznego pistoletu, gdzie po wystrzeleniu dziewięciu sztuk wystarczyło tylko przerzucić nowy magazynek, bębenkowiec wymagał dużo dłuższego czasu na wymianę wystrzelonych łusek na świeże naboje. A po drugie nie był celny, bo nie miał bezpiecznika i trzeba było bardzo mocno naciskać spust przy wystrzale, co często powodowało chwanie się lufy, a w rezultacie niecelność w chwili oddania ognia.

Dużą wagę zawsze przykładalem do kalibru pistoletu. [...] W zaskoczeniu najważniejszy jest pośpiech. Nerwy też grają dużą rolę. Źle strzelony przeciwnik, o ile w grę wchodzi mały kaliber pistoletu,

jest nieraz długo przytomny, a mając własny rewolwer czy pistolet w kieszeni - jest w stanie jeszcze się bronić, często z fatalnymi skutkami.

Wspaniałym pistoletem był polski vis, wyrabiany w przedwojennym Radomiu, niestety bardzo ciężko było go u nas dostać. Następnie do dobrych jeszcze dziewiątek należały: hiszpańska lame, niemiecki P-38, rosyjski TT i mauser. Dostawaliśmy też ze zrzutów angielskich amerykańskie colty 45. Przeliczając na nasz kaliber, to były dwunastki. Dobra broń, człowiek trafiony w nogę umierał z upływu krwi w ciągu pół godziny, ale niepraktyczna, bo u nas tej amunicji zupełnie nie można było dostać, tak że po wystrzeleniu jednej paczki naboju, co przychodziła z tym pistoletem, można go było wyrzucić do śmieci.

Na roboty we wsiach chodziłem przeważnie w pełnym uzbrojeniu, oprócz pistoletu brałem jeszcze automat. Za Niemców: niemiecki, za Sowietów: rosyjski. Steny angielskie były niezłe, bo się nie zacinały, ale miały wolny ogień i były niecelne. Najlepsze były rosyjskie pepeszki, których można było używać albo na bębny 72-strzałowe, albo na magazyny 32-strzałowe. Te magazyny były stuprocentowo pewne. Granatów obronnych używało się tylko w większych akcjach. Na lżejsze roboty się ich nie brało, by się niepotrzebnie nie obciążać.



W swoim własnym przeszkoleniu największy nacisk kładłem na szybkie wyciąganie pistoletu i błyskawiczny strzał. [...]

LATEM 1943 zgłosiłem się - oczywiście na ochotnika - na czterotygodniowy pobyt w Rzeszowie w celu rabowania Niemców z pistoletów. Mam załatwioną kwaterę, mały pokój na poddaszu przy ul. Grunwaldzkiej. Przyjechałem do miasta w dniu jarmarku, na chłopskiej furmance. Pistolet schowany w słomie. Czeka na mnie chłopiec z miejscowej konspiracji. Po wymianie hasła, prowadzi mnie na kwaterę, ręka na pożegnanie i tyle go widziałem.

Przez pierwszy tydzień studiuję dokładnie dwa nocne kluby niemieckie. Obserwuję Szkopów, gdy idą z dziewczynami do parku. W czasie dnia odnalazłem dziuplę w starej lipie, która rosla w odległości dwóch kroków od parkowej ławki. Umieszczam tam swoją parabelkę i w pierwszy nadchodzący poniedziałek biorę się do roboty. Pracę zaczynam około dziewiątej wieczorem. Niemcy, wiedząc o godzinie policyjnej, wychodzą z klubu nieco wcześniej, żeby móc się z pannami pod względem miłosnym załatwić. A tu ja czekam. Mam ze sobą lewe papiery dobrze podrobione, więc siedzę sobie spokojnie na ławce.

Mija mnie taka miłosna para, a ja wbrew zasadom, zamiast patrzeć na nogi dziewczyny,

obcinam pistolet w pochwie Szkopa. Nie interesuje mnie nawet waiter 7.65, tylko musi być dziewiątka. Trzy pierwsze pary przepuściłem, zanim pierwsza ofiara pojawiła się na horyzoncie w postaci oficera Wehrmachtu z dużą parabelą przy boku. Podchodzę szybkim krokiem do dziupli i wyciągam swoją spluwę, przykładam oficerowi pod żebra i grzecznie proszę o pistolet. Po udzieleniu wskazówek zakochanej parze, jak się mają zachować po moim odejściu, chowam zdobyty i swój własny pistolet za pas i dziarsko ruszam z powrotem na melinę.

Wróciłem na wywiad do tego samego parku w następny wieczór bez broni, dla orientacji tylko. Zobaczyłem mnóstwo Szkopów legitymujących przechodniów. Przeczekałem cały tydzień, przeprowadziłem podobną robotę w drugim parku rzeszowskim, po czym przerzuciłem się nad rzekę Wisłok. Tam zabieram znowu dwa nowe pistolety i rezygnuję ze wszystkiego. Wyczuwam, że to już tylko kwestia czasu, kiedy mnie rozwalą. Jak zginąć, to przez przypadek, a nie przez głupotę. Jarmark w poniedziałek, spotykam znajomego chłopca z Dylągówki. Odwozi mnie do wsi, nie domyślając się wcale, że w małym woreczku, który mam ze sobą, wiozę aż cztery zdobyte pistolety plus swój własny.

OKUPACJA ROBIŁA SWOJE, coraz więcej ludzi szukało u nas schronienia. Przychodzili przeważnie

młodzi chłopcy, „spaleni” zupełnie, bez rodzin, bez domów. Przychodzili z różnych powodów. Niektórzy ze względów patriotycznych, inni znów, bo groziło im aresztowanie lub wywóz na roboty do Niemiec. Prawdą jest, że ochotników tej pierwszej kategorii było najwięcej, ale to jeszcze nie czyniło z nich bohaterów. [...]

Dywersonja dawała takiemu chłopcu szanse - choć bardzo małe - przeżycia wojny i roztaczała nad nim pewnego rodzaju opiekę. Dowództwo martwiło się za niego: co będzie jadł na obiad, gdzie będzie spał i co robił... Czuł się tu potrzebny. I potrzebny był rzeczywiście, bo bez tych chłopców AK nie mogłaby istnieć i nie mogłaby prowadzić większych akcji. [...] Nie przeczę, że mnie i takim jak ja życie dywersyjne było bardzo na rękę. Nie musiałem chodzić do szkoły, której w młodych latach nie lubiłem, nie musiałem pracować fizycznie, nie miałem również żadnych zobowiązań rodzinnych i nie musiałem się martwić o to, co jutro włożę do garnka. Nie znośłem monotonnego życia, a urozmaiceń i emocji różnego rodzaju miałem w dywersji wiele.

Na poszczególne likwidacje chodziło się przeważnie na ochotnika. Nasz oddział, tak tutaj u „Józefa”, jak i później u „Draży”(\*), nie używał do akcji więcej jak dziesięciu lub najwyżej piętnastu chłopców. [...] Byli to ludzie zawsze przygotowani na

każdą robotę, dobrze znani dowództwu, mający tak wyrobioną markę, że po prostu wybierano ich rutynowo w zależności od kwalifikacji.

{\* **Dragan M. Sotirović „Draža”, „Michał”, „X” (1913-1987)** – kapitan armii jugosłowiańskiej, Serb. Po nawiązaniu kontaktu z AK zastępca dowódcy oddziałów leśnych 14 Pułku Ułanów. Aresztowany przez NKWD 31 lipca 1944, zbiegł z więzienia, przedostał się za San na Rzeszowszczyznę do oddziałów „Warty”; Dowodził kompanią „D14”. Latem 1945 wyjechał do Francji, przyjął obywatelstwo francuskie i zmienił nazwisko na Jacques Roman}

Co trzeba było mieć w sobie, ażeby być naprawdę dobrym na tych robotach? Potrzebne były wykształcenie, dobra kondycja fizyczna, no i - co najważniejsze - zimna krew, opanowanie. Osiągnięcie tego ostatniego nie było wcale takie łatwe. Nad tym każdy musiał pracować indywidualnie. [...] Trzeba było wyeliminować strach. Myślę, że tylko u młodych ludzi, tak poniżej lat dwudziestu, jest to możliwe. [...] Im człowiek starszy, tym mądrzejszy i tym bardziej ma ochotę do życia. [...]

Dniami pracowałem nad sobą. Uciekałem od rzeczywistości. Żyłem wieczną imaginacją, wmawiałem sobie, że ja tej wojny nie przeżyję, a gdybym nawet przeżył jakimś cudem, to nie będę miał żadnej pomyślnej przyszłości przed sobą i że moja śmierć to jedyne mądre rozwiązanie. Żyjąc z tym założeniem

całymi miesiącami, w końcu w nie uwierzyłem. I to uczyniło mnie takim dobrym.

W pewnym okresie byłem dumą całego oddziału. Ponieważ nie robiło mi różnicy, czy ja żyję, nie dbałem zupełnie o to, czy żyją inni. Strzelałem do ludzi jak do tarczy na ćwiczeniach, bez żadnych emocji. Lubiłem patrzeć na przerażone twarze przed likwidacją, lubiłem patrzeć na krew tryskającą z rozwalonej głowy.

Spełniły się moje marzenia; byłem człowiekiem bez skrupułów... Byłem gorszy od najpodlejszego zwierzęcia. Byłem na samym dnie bagna ludzkiego. A jednak byłem typowym żołnierzem AK. Byłem bohaterem, na którego piersi po wojnie spoczął Krzyż Walecznych, tylko jeden z czterech wydanych na cały oddział Czternastki...

## ROBOTY

JEST JUŻ jesień 1943. Niemcy coraz wyraźniej wycofują się z frontu wschodniego. [...] Ja teraz mam ręce pełne roboty. AK poważnie wzięło się do wyrównywania rachunków ze wszystkimi *Volksdeutschami*.

Bez przerwy jestem na likwidacjach. Wracam do oddziału, mam jeden dzień odpoczynku i znowu idę w teren. [...] Chodzę teraz przeważnie z „Majerankiem” i „Wilkiem”. [...]

Likwidacja pana Barana w Rzeszowie. Choć miał nazwisko czysto polskie, był *Volksdeutschem*. Niejednego Polaka posłał do obozu koncentracyjnego i za to, całkiem sprawiedliwie, dostał karę śmierci. Idziemy do Rzeszowa we dwóch, ja i „Majeranek”. Maszerujemy dzielnie całą noc, [...] w Rzeszowie jesteśmy wcześniej rano. Na ulicy 3 Maja czeka na nas już miejscowy kontakt. Idziemy pod kamienicę, w której mieszka pan Baran, i czekamy około pół godziny. Punktualnie o ósmej rano pan Baran wychodzi i kieruje się w stronę budynku Gestapo. Miejscowy kontakt, który był z nami dla identyfikacji, mówi tylko jedno słowo: „*Ten*” - i odchodzi w przeciwnym kierunku.

„Majeranek” przechodzi teraz na drugą stronę ulicy jako „ubezpieczenie”, a ja walę za Baranem.

Dochodzę do niego od tyłu na odległość kroku, wyciągam spokojnie parabelkę, przykładam mu prawie do samej głowy i pociągam za spust... A tu nic się nie dzieje... Słyszę tylko lekkie „klik”! Cholera - myślę - trafiłem na niewypał. Próbuję zarepetować pistolet, zrobiłem to widocznie za nerwowo, następny nabój staje mi sztorcem w zamku.

A tu pan Baran nie taki baran, na jakiego wygląda. Odwrócił się, z miejsca ocenił sytuację i, nie czekając na nic, wyjął swoją broń z kieszeni. [...] Zrobiłem błyskawiczny zwrot do tyłu i zacząłem wiać z szybkością, jakiej niejeden olimpijczyk by mi pozazdrościł. Nie ubiegłem chyba więcej niż dziesięć kroków, jak mój Baranek otworzył za mną ogień. Na ulicy istna Sodoma i Gomora. Biegnę zygzakiem, rozpaczliwie próbując uratować życie, „Majeranek” wrywa drugą stroną ulicy, ludzie, których tutaj pełno, wskakują w otwarte bramy lub padają przerażeni na ziemię, a pan Baran nic, tylko wali za mną cały magazynek.

Może ta historia skończyłaby się tragicznie, gdyby z pomocą nie przyszedł mi przypadek. Akurat na ulicę wjechał w dorożce jakieś wysokiej rangi oficer niemiecki. Zobaczył pana Barana, ubranego po cywilnemu, strzelającego bez pamięci po ulicy. Ponieważ widocznie go nie znał, wziął go za partyzanta, który próbuje kogoś zlikwidować. Nie

namyślając się wiele, ściągnął z szyi swój automat, wziął pana Barana na muszkę i włożył w niego pół magazynka.

Gdy nareszcie dobiegłem do rogu ulicy, obejrzałem się za siebie i musiałem przetrzeć oczy, bo myślałem, że źle widzę. Pan Baran leżał na ulicy rozciągnięty jak długi, a nad nim stał z bronią w ręce bohaterski hitlerowiec.

Wracamy z „Majerankiem” do oddziału. „Józefa” nie ma, więc meldujemy się porucznikowi „Rysiovi” [Tadeuszowi Wrażeniowi]. Zdajemy krótki raport o udanej likwidacji. Nie wchodzimy w szczegóły. Wyrok został wykonany, a w jaki sposób, to już jest niczyj interes.

OKOŁO 30 KILOMETRÓW na południe od Rzeszowa leżała mała wioska, która nazywała się Harta. Ludność miejscowa składała się przeważnie z drobnych rolników, których głównym zmartwieniem było wykarmienie rodzin. Polityką się nie zajmowali, chodzili co niedziela do kościoła i czekali lepszego jutra. W tej właśnie wiosce urodziła się i wychowała piękna dziewczyna, Jadzia Pierożanka. Skończyła 7-klasową szkołę podstawową, więc jak na warunki wiejskie miała tak zwaną przyszłość przed sobą.

Miała jasnoblonde włosy, niebieskie oczy i figurę nie z tej ziemi. Po śmierci ojca, który zginął w



wypadku w tartaku, mieszkała z matką i ze swoją młodszą siostrą. Było rzeczą zupełnie zrozumiałą, że o względy pięknej Jadzi starali się chłopcy nie tylko z Harty, ale też ze wszystkich okolicznych wiosek.

Jadzia lubiła się bawić, toteż uczęszczała na wszystkie miejscowe zabawy i wesela, które nie zawsze kończyły się szczęśliwie. Zdarzało się nieraz, że któryś ze słabszych konkurentów Jadzi wracał do domu z rozbłą głową, w którą mu mocniejszy rywal orczykiem przygrzmocił. Jadzia jednak lubiła typowych mężczyzn. Jednym z nich był Bronek Pieniowski. [...]

Lubił śpiewać i to Jadzi imponowało najwięcej. A już zupełnie straciła dla Bronka głowę, gdy będąc na weselu u znajomych, otoczona jak zawsze rojem wielbicieli, zobaczyła na własne oczy, jak Bronek, urażony brakiem miejsca dla siebie przy boku ukochanej, podniósł się z krzesła i, stanąwszy przed samą orkiestrą, zaintonował mocnym, czystym głosem: *„Ustąpcie mi dziady, ustąpcie frajery, bo was powygamiam do jasnej cholery! Wyście tańcowali, ja wam nie przeszkadzał, a teraz was będę oknami wysadzał!”*. Skończywszy, podszedł uroczyście do kąta izby, z którego wyciągnął dobrze zakonserwowany orczyk do konia okuty żelazem z obydwu stron. Widok orczyka dał wszystkim do zrozumienia, że to koniec zabawy i że następne

tańce odbędą się dopiero na poprawinach. W przeciągu minuty zrobiło się w izbie pusto, bo ci, co nie zdążyli drzwiami, ratowali się ucieczką przez okna.

Zaczął się wielki romans pomiędzy Bronkiem i piękną Jadzią. [...] Bronek uważał jednak, że nie samą miłością człowiek żyje. [...] Że małżeństwo można przełożyć na później, natomiast Ojczyzna potrzebuje go natychmiast, bo przecież wojny przełożyć nie można. Nie pomogły Jadzi prośby, łzy i kuszące uśmiechy. [...] Bronek powziął decyzję. Kochał swoją dziewczynę i wypowiadał się jej ze wszystkiego. Powiedział, że idzie w szeregi dywersyjne walczyć za Ojczyznę.

Bronek Pieniowski został przydzielony do naszego oddziału jesienią 1943. Polubiłem go bardzo za jego szczerość, otwartość, uczyłem go w wolnych chwilach wielu trików partyzanckich. [...]

O Jadzi opowiedział mi wszystko. Gratulowałem mu tej miłości.

Tymczasem po odejściu Bronka Jadzię ogarnęła rozpacz. Nie widziała już celu w swoim życiu. [...] Zaczęła szukać zemsty na narzeczonym. [...] Poszła na miejscowe Gestapo i wyśpiewała wszystko. Że jej Bronek poszedł do partyzantki, że posiadał broń... Gestapo wysłało z miejsca ekspedycję karną, która

zlikwidowała całą rodzinę Bronka. Od kul padła jego matka, ojciec, dwóch braci i siostra, nawet wujek, który nocował w czasie najazdu u rodziców Bronka.

Dwa tygodnie po tragedii los Jadzi zostaje przypieczętowany. Wychodzę z kwatery przed wschodem słońca, mam automat pod płaszczem. Wstępuję po drodze po „Majeranka”. Idziemy do Harty. Cały dzień w marszu, jesteśmy na miejscu około szóstej wieczorem. Pamiętam dziś, jak po drodze myślałem o Bronku. Chłopak nawet nie wiedział, że to ja poszedłem na tę robotę.

Na miejscu odszukujemy chłopca z tutejszej konspiracji. Jest już ciemno. Podprowadza nas pod dom Jadzi i odchodzi. Jesteśmy pod oknami. Widzę trzy sylwetki... Jest w domu - myślę. Pukamy i, nie czekając na odpowiedź, wchodzimy do środka izby, przez otwarte drzwi. Jadzię poznaję od razu. Tyle o niej słyszałem od Bronka. Co za śliczna dziewczyna! Te długie włosy i te duże niebieskie oczy... Zobaczyła nas i zauważyłem, że zrobiła się biała jak papier.

– Jadzia Pierożanka? - pytam, patrząc jej prosto w oczy.

– Tak, to ja [...].

Słyszę, jak drży jej głos; próbuje zachować zimną krew do końca. Jej młodsza siostra stoi jak

skamieniała, matka leci zemdlona na ziemię. Czytam wyrok.

– Została pani skazana na karę śmierci za zdradę Państwa Polskiego, wyrok zostanie wykonany natychmiast. Daję pani dziesięć minut na modlitwę i pożegnanie się z rodziną.

Mój spokojny głos robi jednak swoje, łzy duże jak groch pokazują się w oczach Jadzi. Siostra rzuca się jej ze spazmatycznym płaczem na szyję, widzę, jak podnoszą teraz zemdloną matkę i układają ją na łóżku. Patrzę, jak Jadzia robi znak krzyża na piersi, i słyszę, jak szepcze modlitwę. Tak mija parę minut.

W końcu biorę Jadzię za rękę i kieruję się w stronę drzwi. Mijam „Majeranka”, który stoi w drzwiach jak skamieniały. Widzę, że ma wilgotne oczy. Jeszcze parę kroków i stodoła. Ustawiam pod nią na wpół przytomną ze strachu Jadzię, twarzą do siebie, robię jeden krok do tyłu i podnoszę automat. Celuję prosto w głowę. Jest księżycowa noc, widzę to piękne ciało przed sobą i w ostatniej chwili odczuwam pewnego rodzaju żal.

Zniżyłem lufę i równocześnie pociągnąłem za spust. Byle nie w głowę - pomyślałem - jak ona będzie wyglądać w trumnie. Długa seria... i koniec wszystkiego! Jadzia Pierożanka przestała istnieć... I dlaczego? Było to pytanie, które dręczyło mnie

później tygodniami.

NA POCZĄTKU 1944 ROKU klęska Niemców była już coraz bardziej widoczna. O wiele rzadziej widziało się jadące na wschód posiłki. We wsiach rzeszowskich można było zauważyć pewnego rodzaju odprężenie. Skończyły się nieustanne poprzednio łapanki, kończyła się pomału aktywność Gestapo i żandarmerii. Nastąpił też pewien zastój w likwidacjach. Był taki okres, że przez trzy tygodnie nie byłem na żadnej robocie i nie zastrzeliłem ani jednego człowieka. Po prostu nie było do kogo strzelać. Wysadziliśmy z interesu wszystkich *Volksdeutsche* i ich sympatyków. Ci, co pozostali przy życiu, a proszę mi wierzyć, że była ich już garstka, albo ratowali się ucieczką w głąb Niemiec, albo też ukrywali się w większych miastach, zmieniając nazwiska. [...]

Nasz oddział dywersyjny przy Drugiej Placówce „Józefa” powiększył się prawie dwukrotnie. Przychodzą teraz do nas chłopcy (piszę chłopcy, bo poza oficerami nie pamiętam nikogo, kto by miał skończone 20 lat), którzy całą okupację spędzili w konspiracji. Nie obawiają się już opresji względem ich rodzin, bo Niemcy mają teraz masę swoich kłopotów z utrzymaniem się na froncie.

Chłopcy ci przynoszą ze sobą broń, przeważnie antyczną, którą wielu trzymało jeszcze z czasów

przedwojennych. Można zobaczyć u nich stare mausery, a i niejednen do nas z małą „szóstką” zawitał. Ponieważ większość z nich nigdy nie strzelała z tej przyniesionej broni, teraz na miejscu, na polanach leśnych, przechodzą intensywne przeszkolenie. Poza ćwiczeniami w strzelaniu, odbywają podstawową musztrę wojskową, chodzą na czujki, krótkie patrole...

PONIEWAŻ AKURAT W TYM CZASIE porucznik „Ryś” poszukiwał ochotników na tak zwane babskie roboty, zgłosiłem swoje usługi natychmiast i namawiałem „Majeranka” i „Wilka”, żeby mi towarzyszyli. „Babskie roboty” to nie były żadne likwidacje, tylko lekkie rozliczenie się z tymi panienkami, które lubiły dla pieniędzy i własnej przyjemności zabawiać się z Niemcami. [...]

Te panienki znały przecież we wsi każdego sąsiada, wiedziały o każdym wszystko, kto z kim utrzymuje kontakty, gdzie wyjeżdża... Jestem przekonany, że wiele niewyjaśnionych aresztowań przez Niemców można było tym panienkom przypisać.

Ponieważ jednak definitywnej zdrady nie można było żadnej z tych dziewczynek udowodnić, dowództwo AK zdecydowało się ich nie likwidować, tylko dać im ostrzeżenie na przyszłość w postaci kary cielesnej. Wymierzenie takiej kary polegało na

całkowitym ogoleniu lub raczej ostrzyżeniu włosów, plus dwadzieścia pięć kijaszków na gołą pupę. Moja trójka nie była pierwsza, która na taką robotę została wysłana; rok wcześniej chodzili na nią inni chłopcy. O ile niektórym panienkom pierwsza lekcja nie pomogła, to ta druga była o tyle surowsza, że włosy, które jej tymczasem podrosły, nie tylko się strzygło, ale jeszcze się smarowało specjalnym „tarem”, który powodował chroniczne wypadanie włosów i kompletną łysinkę na dłużej. [...]

Nasza trójka obrabiała jedną wioskę przez jeden wieczór. Pierwszy krok, to skontaktowanie się z miejscowym przewodnikiem. Ten albo już miał listę gotową, albo też prowadził nas do sołtysa i - o ile on był w konspiracji - to dawał nam przygotowane nazwiska i numery domów na kartce papieru. Robotę zaczynało się wczesnym wieczorem, ażeby zakończyć przed dwunastą w nocy, po której to godzinie dostęp do domów był mocno utrudniony. Szło się zawsze w towarzystwie miejscowego przewodnika, który - choć sam nie wchodził do środka - był jednak bezwarunkowo potrzebny, bo znał wszystkie przejścia i domy.

Pracowaliśmy jak zgrany zespół sportowy. „Wilk” trzymał dziewczynę, ja strzygłem ją do skóry fryzjerskimi nożycami (miałem w tym wprawę, bo kiedyś w szkole rolniczej strzygłem owce), a

„Majeranek” kończył wszystko, rąbiąc naszą ostrzyżoną już ofiarę gumową pałką na goły tyłeczek. [...]

[Podczas jednej z akcji] Przychodzimy normalnie pod chałupkę, obstawiamy tylne oraz frontowe drzwi i przedstawiamy się grzecznie przez okno, meldując cel naszej wizyty. A tu tato dostaje rozstroju nerwowego i zaczyna nam wymyślać: „Wy, skurwysyny, *po moim trupie moją Magdę będziecie oglądać!*”.

„Majeranek” wybija okno i ładuje się do środka. A tu tato buch siekierą. Mało chłopakowi nogi nie uciał. Spowaźnieliśmy od razu, łapiemy za pistolety i ognia! Po lamencie kobiecym, jaki w domu powstał, łatwo się było domyślić, że tato już nie egzystuje. Odchodzimy, nie kończąc tej roboty. Magdę spotkała już kara, i to większa, niż jej się należała.

ZAPEWNE MOŻNA odnieść wrażenie, że u nas w AK nie było dyscypliny, że idąc na robotę, można było zabić niewinnych ludzi, nieplanowanych w danej akcji. Nie było tak. Musieliśmy się podporządkować specjalnemu prawu wojennemu, za którego przekroczenie czekały nas różne kary dyscyplinarne. Tak jak w regularnym wojsku: raporty karne, a nawet sąd polowy.

Jednym z większych przewinień była oczywiście



zdrada Państwa Polskiego - wyśpiewanie na Gestapo lub władzom okupacyjnym jakichkolwiek sekretów dywersyjnych lub konspiracyjnych. Tak samo ludziom cywilnym; wódka, nie wódka, trzeba było mieć buzię zamkniętą. Po czymś takim nie było tłumaczenia! Nie można było dać się aresztować, a potem, przy jakichkolwiek torturach, ratować swoje życie, śpiewając o kolegach. Sąd polowy pod dyrektywą dowódcy oddziału, wyrok ogłoszony często nawet bez udziału winnego, który dopiero po rozprawie poproszony był o obrócenie się w stronę „tego grubego drzewa”. Niepotrzebny był skład egzekucyjny, niepotrzebna była czarna opaska i temu podobne ceregiele. Zwykły strzał w tył głowy, wykonany przez byłego kolegę, wystarczał.

Ale gdy miało się zadanie do wykonania, wyznaczone przez dowództwo, to zadanie trzeba było bezwzględnie wykonać. Gdybyśmy na przykład ustąpili ojcu tamtej dziewczyny, to potem wszyscy by nam drzwi przed nosem zamykali i żadnej roboty tego rodzaju nie można by było wykonać. Wczuвам się w sytuację tego ojca, zdaję sobie sprawę, że na jego miejscu może uczyniłbym to samo, ale nie mogłem pozwolić, aby rozgniewany ojczulko „Majerankowi” odciął nogę. Można tu kwestionować samo wydanie rozkazu, ale wykonaniu roboty nic zarzucić nie można.

OKOŁO ÓSMEJ RANO przyszedł na moją kwaterę plutonowy „Orzeł” z rozkazem dla mnie. Zostałem wyznaczony na patrol idący w stronę Tyczyna. Cel patrolu: trzymać się blisko głównej rzeszowskiej szosy i przejmować pojedyncze towarówki jadące z zaprowiantowaniem w kierunku Rzeszowa. Oprócz mnie i „Orła” poszedł na tę robotę jeszcze „Majeranek” plus dziewięciu innych chłopców.

Wymarsz punktualnie o dziewiątej, po upływie pół godziny widzimy szosę rzeszowską. Wszyscy oprócz pistoletów mamy ze sobą automaty i po jednym zapasowym magazynku.

Po trzech godzinach porządnego marszu wchodzimy do Borku Starego, gdzie zamiast spodziewanych towarówek widzimy coś całkiem innego. Parę metrów od szosy stoją dwa niemieckie czołgi, ale bez załóg, z otwartymi klapami. Byliśmy zaskoczeni ich widokiem i nie bardzo wiedzieliśmy, co z tym fantem robić. Zanim powzięliśmy jakąkolwiek decyzję, z chaty znajdującej się naprzeciwko wyskoczyła załoga - widocznie zauważyli naszą grupę przez okno i teraz chcieli koniecznie wskoczyć z powrotem do swoich czołgów.

Nie mieliśmy czasu na naradę. Oceniliśmy z miejsca sytuację. Jeżeli Niemcy wskoczą do swoich czołgów, to nas rozniosą tymi armatkami. Rzucamy się do rowu przy szosie i otwieramy ogień z

automatów. Razem jest ich ośmiu. Przy pierwszej naszej salwie pada trzech, reszta, widząc, że nie dostanie się do czołgów, rzuca się na ziemię i otwiera do nas ogień z broni ręcznej.

Ogień jest mocny. Dwóch chłopaków z lewej strony odrywa się od nas i zachodzi Szkopów z boku. Ja jestem w rowie pierwszy z prawej, „Majeranek” leży obok mnie. Słyszymy, jak tych dwóch chłopców otwiera teraz ogień z boku, słyszymy krzyki ginących Niemców. Strzelam prosto przed siebie, krótkimi seriami, starając się znaleźć cel. Założyłem już drugi magazynek 32-strzałowy. Ktoś jeszcze do nas strzela, myślałem, że to ostatni dwaj Niemcy. A tu słyszę krzyk „Majeranka”: „*Stefan, uważaj!*”.

Oglądam się w prawą stronę. Jeden z tych niedobitych Niemców zaszedł nas z prawej flanki i dostał się do naszego rowu. Widzę wyraźnie jego czarny mundur, znajdował się niecałe 10 metrów ode mnie. Ponieważ ja leżałem pierwszy z prawej strony, „Majeranek”, który go zauważył, nie mógł strzelać, bo się bał, że może mnie przez pomyłkę trafić. W tym momencie Niemiec otwiera ogień prosto we mnie.

Widzę błysk ognia prawie w same oczy, słyszę dosłownie szczęk zamka. Zupełnie instynktownie ściągam swój automat z poprzedniej pozycji. Ciagnę za spust, chociaż lufa jeszcze nie jest wyrównana z

celem. Nareszcie ten moment, kiedy moje pociski trafiają w głowę Szkopa. Widzę, jak z jego makówki robi się jedna czerwona masa.

To były ostatnie strzały w tej akcji. Ten drugi Niemiec widocznie zginął już z rąk kolegów. Teraz nastała cisza. Podnoszę się pomału i otrzepuję z siebie pył.

Oglądam się w lewą stronę. Widzę teraz, że „Majeranek” leży bez ruchu na plecach. Widzę jego otwarte oczy, widzę, jak krew cieknie strumykiem z przestrzelonej głowy. Wiem od razu, że nie żyje, z takiej rany się nie wychodzi. Niemiec strzelał do mnie, lecz spudłował w nerwach, ale kule, które mnie minęły o ułamki centymetra, trafiły „Majeranka” prosto w głowę.

Chłopcy stoją teraz w milczeniu, wiedząc dobrze, co nas łączyło. Biorę „Majeranka” na ręce i próbuję z nim wrócić do oddziału. Robię parę kroków i upadam. Jedna z kul drasnęła mnie w nogę i nie mogę ustać. Koledzy biorą jego ciało, a mnie pod pachy i tak wracamy do Nieborowa. Nawet nie pamiętam, co zrobiono z tymi dwoma pustymi czołgami.

Pogrzeb „Majeranka” był jedynym prawdziwym pogrzebem, w jakim brałem udział w całej swojej karierze dywersyjnej. Przeważnie chłopcy, którzy

ginęli w większej odległości od oddziału, byli zostawiani lub - o ile pozwalały na to warunki - zakopywani na miejscu. W Nieborowie mieliśmy swój własny cmentarzyk dla tych, którzy umarli z ran lub byli zabici w bliższych akcjach. Chowało się ich w samej białej, bo ubranie oddawało się często koledze, który nie miał w czym chodzić. O trumnie czy mszy świętej nawet mowy nie było.

Ale mój „Majeranek” miał wszystko. Był to już piąty rok wojny i niemiecka czujność była o wiele mniejsza. Poza tym nasz kapelan wojskowy, który znał mnie jeszcze z dziecięcych lat, nie śmiał odmówić prośbom i wszystko mi załatwił. Nawet zorganizował składkę na trumnę, którą na poczekaniu zbił miejscowy stolarz.

W mszy świętej, która odbyła się punktualnie o północy w kościele w Hyżnem, wziął udział cały mój oddział Drugiej Placówki z wyjątkiem oficerów i chłopców, którzy byli na „ubezpieczeniu” kościoła podczas nabożeństwa. Nigdy nie zapomnę tego wzruszającego momentu, tego kościoła całego w światłach, tej braci partyzanckiej, która po zakończeniu mszy przy dźwiękach organów śpiewała na całe gardło *Boże, coś Polskę*. [...]

Pamiętam, jak bardzo byłem twardy w tych czasach, ale pamiętam też łzy, które stały mi w oczach podczas tego pogrzebu. Przecież ja z tym

chłopcem byłem na prawie każdej robocie. Znałem każdy jego ruch, każdą myśl, wiedziałem, że w każdej sytuacji mogę bezwarunkowo na nim polegać. W czasie wolnym od służby razem chodziliśmy na dziewczynki, razem piliśmy gorzałę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tej wojny prawdopodobnie nie przeżyjemy, że wcześniej czy później trzeba będzie głowę położyć.

## CZAS „BURZY”

Akcja „Burza” rozpoczęła się na terenach rzeszowskich 26 lipca 1944. [...] Ludzie z konspiracji zostawiali teraz swoje domy, rodziny, łapali za jakąkolwiek broń i łączyli się z dywersją, aby wspólnymi siłami walić znienawidzonego wroga. Na pograniczu wiosek zmieniało się stodoły na „wartownie”, gdzie nowo upieczeni „żołnierze” trzymali wartę i przechodzili przeszkolenie wojskowe.

Jedna z takich wartowni znajdowała się w Dylągówce. Była to wioska, w której spędziłem lwią część moich młodzieńczych lat, cała miejscowa młodzież mnie знаła. Tutaj był położony majątek mojej matki, która zmarła w roku 1934. Przyjeżdżałem tu często na wakacje z Jasła i ze Lwowa, gdzie chodziłem do szkół, a w dziecięcych latach przyjeżdżałem z Nosówki, gdzie byłem urodzony i gdzie mój ojciec miał folwark. Znałem tu każde drzewo, każdy pagórek, każdy gaik. Pamiętam, jak dziewczęta sezonowe śpiewały mi podczas dożynek: *„W dylągowskim stawie pływają łabędzie, a nasz panicz Stefan królewiczem będzie”*. [...]

[Na kilka dni przed rozpoczęciem „Burzy”]  
Ponieważ miałem trochę wolnego czasu, wybrałem się w odwiedziny do Dylągówki. Zastałem na miejscu

chyba z piętnastu chłopców. Poznali mnie wszyscy, więc powitanie było serdeczne. Znalazła się też butelka samogonu. [...]

Uderzył mnie przede wszystkim ich patriotyzm. Czują już koniec wojny, marzą o akcjach zbrojnych, o których tak jednak mało wiedzą i z którymi tak mało mają doświadczenia. Patrząc na ich uzbrojenie: ani jednego automatu, kilka 5-strzałowych karabinów (kbk) i dwa małe pistolety, które ja osobiście bałbym się wziąć do ręki. Nie krytykuję jednak niczego, nie chcę psuć nastroju i tego bojowego zapachu.

Podczas naszych rozmów wpada na wartownię zdyszany chłopak. Jadąc przez wieś na rowerze, minął zmierzającego w naszą stronę Niemca, który powoził parą koni zaprzęgniętych do dużej platformy. Znajdowało się na niej wiele różnych, na pewno wyszabrowanych, rzeczy, a także duży niemiecki wilczur. Niemiec jedzie po cywilnemu, chłopak minął go jakieś 2 kilometry od nas, nie widział wokół niego żadnej obstawy.

Okazja ogromna, diabeł wie, co może być na takiej platformie, a do tego robota wygląda śmiesznie łatwo. Mówię, że potrzebuję tylko jednego ochotnika, bo trudno wymagać, ażeby na jednego Niemca brać całą drużynę. Pierwszy zgłasza się chłopiec, którego pseudonimu nie pamiętam, wiem tylko, że było mu na imię Władek. [...]



Zeszliśmy w dół z wartowni. Władek uzbrojony w moją parabelkę, a ja w jego karabinek; czekamy schowani przy strumyku za dwoma grubymi drzewami. Niemiec rzeczywiście po paru minutach nadjeżdża z platformą, więc wyskakujemy dzielnie zza drzewa i krzyczymy na całe gardło: „*Halt, Hande hoch!*” [Stać, ręce do góry!]. Niemiec wprawdzie zatrzymał stępa idące konie i podniósł przepisowo ręce do góry, ale za to wilczur jadący na platformie jednym potężnym susem wylądował mi na głowie lub raczej na łufie trzymanego przeze mnie karabinu. Pociągnąłem za spust, pies ciężko raniony odbił się od mojej głowy i ze skowytem spadł na szosę.

W zamieszaniu przerażony Władzio strzelił do Niemca z parabelki, raniąc go w szyję. Widząc, co się dzieje, biedny Niemczulko [...] zeskoczył z platformy i zaczął uciekać. Przeskoczył nawet strumyk na drugą stronę, ale tam się pośliznął na mokrej trawie i wywrócił jak długi. Pierwszy dopadł go Władek. Widocznie nie bardzo wiedział, co robić, bo zamiast go dobić, żeby się nie męczył, zaczął mu rewidować kieszenie. Zabrał mu dokumenty osobiste i trochę naboju do sowieckiego karabinu maszynowego. A tu tymczasem nasz Niemczulek wariuje i drze się: „*Hilfe, Hilfe, Kameraden, nicht schiessen!*” [Pomocy, pomocy, towarzysze, nie

strzelać!].

Widzę, że jest niedobrze, bo rzecz dzieje się na środku głównej szosy, więc o nieszczęście nietrudno, zwłaszcza że co chwila przejeżdżają tędy uciekające z frontu wojska niemieckie. Stojąc teraz na środku drogi, proszę Władzia, ażeby się trochę usunął na bok, biorę spokojnie Niemca na muszkę i pociągam za spust. Jeden strzał i Niemiec przestaje hałasować.

Teraz łapiemy za koniki i ściągamy platformę w boczną drogę. Ujechaliśmy może ze 200 metrów, a tu słyszymy odgłos silnika i zza zakrętu wylatuje ciężarówka pełna żołnierzy niemieckich. Wiejemy bez platformy i bez koni pod górkę, chowamy się w krzakach. Niemcy stanęli, bo zobaczyli trupa przy potoku, zaczęli go oglądać, ale nie mogli wymiarkować, kogo mają przed sobą. Gość po cywilnemu, żadnych papierów, bo go Władzio przeczyścił. Albo nie dostrzegli platformy, która stała na bocznej drodze, albo im się też tak spieszyło, że nie chcieli tracić czasu na jej oglądanie. Słyszymy warkot silnika. Odjeżdżają.

Wracamy do koni, całą platformę ciągniemy aż do wartowni. Teraz dopiero odkrywamy ten cudny sowiecki karabin maszynowy i to z amunicją, pełno całkiem nowych ubrań i żółty mundur pułkownika SA. Nic dziwnego, że Szkopina jechał po cywilnemu. Oglądam album z fotografiami. Żona, troje ślicznych

dzieci, do których już nigdy nie wróci, adres w Norymberdze. [...]

Tymczasem na wartowni radość niesamowita, chłopcy dzielą się ubraniami, Władek dumny ze swojej pierwszej udanej roboty. Ktoś wyciąga nową butelkę i w wesołym nastroju oblewamy udaną akcję. Pod gazem wracam do swojego oddziału w Nieborowie, nucąc sobie wesoło pod nosem: *„Od Rzeszowa jadą kupcy, jeden trzyma, drugi dupczy...”*.

PARĘ DNI PÓŹNIEJ „Józef”, którego przez ostatni miesiąc nikt nie widział w Nieborowie, powrócił do oddziału. Po krótkim powitaniu zarządził odprawę wszystkich oficerów i starszych podoficerów w swojej kwaterze. Zauważyłem, kręcąc się niedaleko, że przez następne trzy godziny nikt nie ruszył się na krok z budynku. Wreszcie ukazał się porucznik „Ryś” i wydał rozkazy oddziałowi: *„Jutro o piątej rano zbiórka całego oddziału, jednego człowieka nie może brakować, nawet czujki będą ściągnięte i będą brały udział w odprawie. Miejsce: plac ćwiczeń, polana leśna numer 3”*.

Następnego dnia o świcie wszyscy jesteśmy na miejscu. Zaczynają się krótkie raporty. Meldują się drużyny, plutony. Wreszcie przed oddziałem ukazuje się sam dowódca „Józef”. Widzę go chyba po raz trzeci w życiu. Jest poważny, skupiony, pewny siebie.

Odbiera raport od porucznika „Rysia”. Potem w kilku słowach wita się z oddziałem. Dziękuje nam za ofiarność i poświęcenie, które okazaliśmy przez ostatnie lata. Recytuje też dziesięć pseudonimów do awansu. Słyszę też mój: „Żbik I”; robię automatycznie trzy kroki do przodu. Mój pierwszy awans w AK. Jestem teraz kapralem. [...]

Następnie główna część odprawy. Słyszę spokojny głos „Józefa”: *„Żołnierze, przystępujemy do finałowej akcji wojennej, do akcji, która przyniesie nam ostateczne pokonanie wroga i otworzy nam drogę do wolnej Polski! Akcja ta nazywać się będzie «Burza»”.*

„Józef” mówi krótko, po wojskowemu. Wszyscy musimy chodzić teraz z białą-czerwoną opaską na lewej ręce i tylko żołnierze AK z tymi opaskami będą honorowani przez wkraczające na tereny polskie oddziały sowieckie. Będziemy przejmować wszystkich Niemców uciekających z frontu. Wszystkie szosy na wschód od Rzeszowa muszą być obstawione przez nasz oddział. Wehrmacht będzie rozbrajany i - po zaopatrzeniu w specjalne przepustki - kierowany w stronę Sowietów, którzy Niemców wezmą do niewoli. Natomiast wszyscy członkowie partii niemieckiej (SS, SA, Gestapo, żandarmeria) będą przez nas likwidowani na miejscu. [...] Każda jednostka musi być w stałym kontakcie z

główną komendą oddziału.

Omawiana jest też współpraca z miejscową konspiracją, która teraz już oficjalnie podlega pod naszą dywersję i która będzie nam teraz pomagać w akcjach zbrojnych. Nareszcie zakończenie odprawy, śpiewamy i udajemy się na kwatery, ażeby zacząć ostatnie przygotowania do wymarszu na stanowiska, który ma nastąpić następnego dnia o świcie.

Wróciłem na swoją kwaterę z posępną miną. Nie miałem zaufania do akcji zbiorowych. Będą nowe twarze, nowi ludzie, na których trudno mi będzie polegać. Na robotach indywidualnych byłem ekspertem, miałem dużo wprawy. A tak wszystko trzeba zaczynać od nowa. Siedziałem bez ruchu przy oknie chyba całą godzinę, studiując sytuację. Doszedłem do konkluzji, że głową muru nie przebiję, że ta finałowa akcja jest nieunikniona.

W końcu, zrezygnowany, zabrałem się do czyszczenia automatu i parabellum, liczenia amunicji. Na zakończenie wieczoru wytrąbiłem pół butelki samogonu bez zakąski i urżnięty jak Świnia usnąłem w ubraniu, czekając na lepsze jutro.

NASTĘPNEGO DNIA już o dziewiątej rano jestem na stanowisku. Miejscowość Borek Stary, jakieś 10 kilometrów od Nieborowa. Jest nas razem pięciu chłopców, szczęśliwym trafem - wszyscy z mojej

drużyny. Przytaszczyliśmy nawet ze sobą jedyny w naszym oddziale cekaem, stary polski maksim. Usadowiliśmy się jakieś 50 metrów od głównej szosy rzeszowskiej, schowani za małą piwniczką wykopaną w ziemi i czekamy na Szkopów.

Po jakiejś godzinie wyjeżdża zza zakrętu popielaty mercedes. Bierzemy go na muszkę i tylko czekamy, by wjechał nam na linię strzału. Pech chciał, że z przeciwnej strony chłopina jechał furmanką. Szkopi z mercedesa nas nie mogli zobaczyć, za to chłop zauważył nas od razu. Z miejsca ocenił sytuację i przyciął konie z widoczną nadzieją przedostatnia się na drugą stronę szosy. Nie pomogły nasze rozpaczliwe znaki, ażeby zatrzymał koniki; chłopina znalazł się prosto przed nami, w momencie gdy Niemcy nadjechali. Musieliśmy zrezygnować z zasadzki i w parę sekund ten piękny mercedes zniknął w tumanach kurzu.

Nadjeżdża cudny, czarny opel. Tym razem szosa jest pusta. Dojeżdża majestatycznie przed front naszej piwniczki. Widzę czterech ludzi w mundurach niemieckich. „*Teraz!*” - krzyczę - i lawina ognia ziele w stronę samochodu! Strzelamy na wysokości okien. Opel, w zwolnionym już tempie, robi lekki zwrot w lewą stronę i wpada do rowu. Zauważyłem, że parę sekund wcześniej otworzyły się tylne drzwiczki samochodu, z których na szosę wyskoczył ranny

Niemczulek. Próbował się nawet podnieść, ale w tej chwili krótka seria z naszego cekaemu uspokoiła go na zawsze.

Podchodzimy teraz do wozu. Same grube szyszki, jest między nimi generał Wehrmachtu, co za sukces! Żeby mieć dowód, zabieram mu papiery, choć są mocno przesiąknięte krwią. Krew zresztą jest wszędzie - na siedzeniach, podłodze, nawet na resztkach rozbitych szyb. Tego Niemca dobitego na szosie wkładamy teraz do samochodu, cofamy się w bezpieczne miejsce i jeden z kolegów rzuca granat pod tył wozu. Potężna eksplozja i cały opel staje w płomieniach. Ta akcja skończona, wycofujemy się na następne stanowisko i czekamy na dalsze ofiary. [...]

Nasza piątka miała pełne ręce roboty przez następne pięć dni. [...] Rozwaliliśmy około dwudziestu samochodów i zabiliśmy około dwudziestu Niemców, z czego większość stanowili oficerowie.

Odprowadziliśmy także do Nieborowa trzy samochody na chodzie, które po założeniu białoczerwonych chorągiewek na błotniki oddawały nam niestety mocno wątpliwe usługi. W nocy tych chorągiewek nie było widać i jak się jeździło z placówki na placówkę i do tego bez świateł, ażeby nie zwracać na siebie uwagi, to można było łatwo przypłacić to życiem, będąc ustrzelonym przez

własne patrole, które brały nasze samochody za nieprzyjacielskie. Ja spróbowałem takiej przejażdżki tylko raz i uznałem, że chodzenie na własnych nogach jest dużo zdrowsze.

Skorzystaliśmy też w tych akcjach zaczepnych, jeżeli chodzi o broń i amunicję. [...] Mam teraz nowiutkie oficerskie buty i spodnie. Kieszenie pełne złotych okupacyjnych i papierosów - już nie palę machorkowych. Tylko zmęczenie jest coraz większe, po pięciu dniach przeskoków z akcji do akcji jestem zupełnie wykończony nerwowo. Moi koledzy nie wyglądają lepiej. [...] Wreszcie wracamy do naszego kochanego Nieborowa i prosimy o dwa dni wypoczynku.

PO OTRZYMANIU POZWOLENIA, walę na moją starą kwaterę i na strychu na sianie śpię snem sprawiedliwego przez następne dwanaście godzin. Dobrze, że przynajmniej miałem dosyć czasu, ażeby zdjąć buty i dać odpocząć moim odciskom.

Gdy się obudziłem następnego dnia, moja gospodyni już się kręciła po izbie, szykując dla „biednego” partyzanta śniadanko. Pierwsza ciepła strawa od pięciu dni. Tam na szosie żywiliśmy się tylko kanapkami, przynoszonymi nam przez posłańca ze wsi. [...]

Tylko skończyłem śniadanie, gdy z daleka słyszę



odgłos armat! Razem z gospodynią lecimy na dwór. Słyszać je teraz bardzo wyraźnie. W całej wiosce wszystko, co żyje, wyskakuje na zewnątrz. Starsze babki żegnają się nabożnie. Ofensywa sowiecka, o której tyle słyszałem w ostatnich tygodniach, już blisko nas. Kto wie, może jeszcze kilka tygodni lub dni nawet, a będziemy poza linią frontu, będziemy w wolnej Polsce!

Armaty już nie milkną teraz ani na chwilę. Są ciągle z nami, raz głośniejsze, raz cichsze, brzmią jak cicha muzyka, która zwiastuje nową wiosnę życia, zupełnie nową przyszłość.

Widzę się wieczorem z porucznikiem „Rysiem”. Dostaję nowe rozkazy. Jeszcze jeden dzień wypoczynku, a potem z powrotem na szosę. Tylko nie w piątkę tym razem, a całym plutonem. Mamy odbierać i rozbrajać uciekających z frontu Niemców.

Ten ostatni wypoczynek przydał mi się bardzo. Zawsze miałem się za delikatnego i uważałem, że moje ręce są lepsze do pieszczenia kobiet niż do noszenia karabinu. Mając więc jeszcze jeden dzień do dyspozycji, spędziłem go w ramionach miejscowej szesnastolatki, której było na imię, o ile pamiętam, Jasia. Mała, śliczna blondyneczka.

Następnego dnia o świcie wymarsz całego plutonu. Idziemy obładowani jak woły. Pełne

uzbrojenie, nawet łopaty do kopania. Nasze nowe stanowisko zajmujemy przy dwóch skrzyżowaniach dróg: do Rzeszowa, Błażowej, Dynowa i Łańcuta, w miejscowości Dylągówka. [...] Stojąc na skrzyżowaniu tych szos, tak blisko mojego domu, czułem się jak bohater, który przyszedł własną krwią bronić swojego osiedla.

Niemcy nie dali na siebie długo czekać. Już na drugi dzień po zajęciu stanowisk pierwsza grupa ukazała się na dalekim odcinku szosy. Było ich około trzydziestu. Na widok partyzantów z białoczerwonymi opaskami na rękach rzucili karabiny. Bez żadnego rozkazu od razu wiedzieli, co robić. Z wysoko podniesionymi rękami zbliżali się wolnym krokiem w naszą stronę. Gdy podeszli bliżej, uderzył mnie ich widok.

Pamiętałem dobrze butny Wehrmacht z 1939 roku. Rozrzucali wtedy ludności wiejskiej kawę i cukier na tym samym skrzyżowaniu. Mieli śliczne, lśniące nowością mundury, wspaniałe uzbrojenie. Pamiętam, jak jeden z nich chełpił się tym bogactwem czystą polszczyzną: *„Wasza Polska to głównie miała, a teraz, za naszej okupacji, to będziecie mieć wszystko!”*.

Ci sami żołnierze wracali teraz ze wschodu. Albo raczej wracały ich niedobitki. Brudni niesamowicie, nieogoleni, w strzępach mundurów, w zdartych

butach. Znikła ich duma, nie było widać na twarzach tej pychy hitlerowskiej, tej wiary w zwycięstwo. Widać było, że jedynym ich marzeniem jest teraz, aby uratować życie i dostać się do swoich rodzin w dalekich Niemczech. Jestem ciekaw, jaki właściwie procent tych Niemców zobaczy jeszcze ziemia niemiecka. Przypuszczam, że bardzo niewielu.

Z tej pierwszej trzydziestki, która teraz stała przed nami, tylko dwudziestu posiadało tak zwaną *Soldbuch*, czyli książeczkę wojskową, co sprawdziliśmy od razu przy rewizji osobistej. Pozostałych dziesięciu tłumaczyło się, że ich książeczki zagubiły się podczas akcji bojowej. W niektórych przypadkach może to i prawda, ale jaką mamy gwarancję, że to nie są partyjniacy, przebrani w strzępy mundurów Wehrmachtu, próbujący się przeschmuglować na zachód.

Nie ryzykując pomyłki, wiążemy im ręce do tyłu i - po odprowadzeniu do małego gajku na terenie folwarku dylągowskiego - likwidujemy całą dziesiątkę, strzelając im w tył głowy. Uskuteczniamy operacje tego rodzaju nieraz kilka razy dziennie, zakopując ciała dopiero przy większej liczbie. Wiele takich masowych grobów jest w dzisiejszej Polsce...

Inaczej jest z tymi żołnierzami, którzy posiadają książeczki wojskowe. Tych obdarzamy specjalnie przygotowanymi przepustkami, które uprawniają ich

do „spokojnego” przejścia do Jawornika Polskiego, gdzie zostaną przejęci przez władze sowieckie i odesłani do obozów jenieckich w głąb Rosji. [...]

Kwaterowałem teraz w Dylagówce. [...] Gdy raz szedłem na przerwę obiadową, zobaczyłem Niemca, któregośmy wylegitymowali i przepuścili jakieś pół godziny wcześniej, siedzącego w opłakanym stanie na skraju rowu. Biedak siedział prawie zupełnie już nago. Wszystko, co mu zostało, to but na prawej nodze, o który teraz właśnie biła się banda ludzi ze wsi. Po prostu rabowali go na żywca, bo widocznie jego mundur i buty nie były całkiem zniszczone.

Mój apel, ażeby mu oddali wszystko, spotkał się z drwinami, po czym jeden z wieśniaków na dobitkę zgrabnym ruchem zerwał mu ten pozostały but. Cała banda ruszyła w stronę wsi, kłócąc się jeszcze po drodze między sobą. A biedny Szkopina siedział przede mną w stroju Adama. Znalazłem się w głupiej sytuacji, bo nie wiedziałem, co z nim robić.

Nie mogłem się rozebrać, oddać mu swojego ubrania i wrócić nago na kwaterę. Nie mogłem również pozwolić na jego powrót do Niemiec, gdzie miałby szansę opowiedzieć, jak go ludność w Polsce potraktowała. Opanował mnie ogromny żal, zrobiło mi się po raz pierwszy przykro, że muszę uczestniczyć w wojnie tak bezwzględnej. Bez słowa wyciągnąłem zza pasa parabellum i strzeliłem

Niemcowi między oczy.

Gdy wreszcie dotarłem na kwaterę, była już druga po południu. Właściciele chaty byli już po obiedzie i z powrotem w polu przy pracy. Na ciepłym jeszcze piecu znalazłem dwa pierogi z ziemniakami. [...] Po obiedzie papieros, to znaczy wysuszona machorka, skręcona w kawałek starej gazety. [...]

Zacząłem się zastanawiać nad swoją przyszłością. [...] Sowietów już blisko, Niemców coraz mniej, okupacja *de facto* już się skończyła. Więc za tydzień czy dwa będzie tu wolna Polska, przyjdzie dzień, o którym marzyłem. I teraz, gdy wszystko było tak blisko, ogarnął mnie lęk. Może trzeba będzie złożyć broń, przejść do cywila i co wtedy? Kończyć szkoły? Zacząć uczciwie pracować na życie? Może nawet AK pójdzie z armią sowiecką aż pod Berlin, ale jak długo to potrwa?...

MOJA SŁUŻBA na szosie trwała przez cały następny tydzień. Z początku roboty mieliśmy masę, ale pod koniec drugiego tygodnia Niemców było już coraz mniej, więc odpoczynku mieliśmy więcej. Aż tu pewnego pięknego jak marzenie poranka na zakręcie drogi z Dynowa w tumanie kurzu ukazują się pierwsza kolumna wojsk sowieckich.

W czołówce trzy ogromne czołgi, a za nimi pełne towarówki wojska, niektóre nawet z przyczepionymi z

tyłu armatkami. Są też amerykańskie jeepy z czerwonymi gwiazdami, studebakery oraz sowieckie zisy. Jeszcze kilka minut i cała kolumna zatrzymuje się przed naszym plutonem. Z jeepa wyskakuje oficer sowiecki, rzucamy mu się na szyję z radości. Powitaniom nie ma końca. Sowietów chwalą nas niesamowicie, nie mają dość słów uznania dla nas za te wszystkie tereny, które bez strzału od nas przejęli. [...]

Sowieci nie mieli własnego zaprowiantowania, więc z miejsca uderzyli na wieś, aby spożyć śniadanie. Słychać było gdakanie gonionych kur, ryczenie zabijanego bydła, kwiczenie świń. Niektórzy chłopcy, mając dość „pańskich” czasów, wychodzili nawet na spotkanie żołnierzy z czerwonymi sztandarami, lecz później byli mocno zawiedzeni, gdy „sojusznicy” tak ich ze wszystkiego obrabowywali.

Mój folwark w Dylągówce posiadał piękny sad owocowy i pamiętam, jak wojska sowieckie w ciągu jednej godziny oczyściły go z zimowych jabłek, które się dopiero co zawiązały z kwiatów. Dziwiło mnie tylko, że im od tych niedojrzałych jabłek żołądki nie eksplodowały.

Nacieszywszy się naszymi nowymi „sojusznikami”, wracam z resztą oddziału do Nieborowa, aby nareszcie porządnie się przespać i wypocząć. Dla mnie i dla mojej Drugiej Placówki AK Obwód

Rzeszów akcja „Burza” jest już zakończona!

## POD SOWIETAMI

PO DWÓCH dniach odpoczynku w Nieborowie dostałem rozkaz z kwatery głównej, aby dostarczyć ważne pismo do oficera sowieckiego, który był zakwaterowany w dylągowskim dworze. [...] Mieliśmy w Nieborowie trzy zdobyte na Niemcach samochody i wraz z kolegą „Żurkiem” [Mieczysławem Pitruszem] postanowiliśmy jeden z nich uruchomić. Wybraliśmy opła, który miał czerwone siedzenia, żeby w ten sposób mocniej zaimponować naszym „sojusznikom”. [...] Mając w zapasie trochę wyszabrowanej benzyny, po półgodzinnych zabiegach udało się nam szczęśliwie opła uruchomić i wyjechać w trzykilometrową podróż do Dylągówki.

Po paru minutach jesteśmy już przy okrągłym gazonie przed głównym budynkiem dworu dylągowskiego. Zostajemy przyjęci bardzo serdecznie przez „komitet powitalny” Sowietów. Otoczyli nasz samochód ze wszystkich stron, podziwiając jego kształty, a przede wszystkim czerwone siedzenia. W końcu ich entuzjazm doszedł do kulminacji, tak że postanowili ten samochód zarekwirować dla Armii Czerwonej. Nie pomogło nasze tłumaczenie, że samochód jest przez nas zdobyty, że jest nam potrzebny w celu dalszego poruszania się po terenie i bicia „Giermańca” oraz że mamy na niego specjalne pozwolenie od wyższych



władz sowieckich.

Zgasły teraz uśmiechy na ich twarzach, kilku nawet zaszło mnie i „Żurka” od tyłu i po wykręceniu rąk zabrali nam pistolety. Następnie pozbyliśmy się wyszabrowanych od Niemców zegarków; szczęście od Boga, że nie rozebrali nas do naga! Była ich taka kupa na tym gazonie, że o poważniejszej obronie nawet mowy nie było. List, który miałem oddać oficerowi, też został mi zabrany, z obietnicą, że zostanie dostarczony przez nich samych w późniejszym terminie. [...]

Za moje upokorzenie przysiągłem Sowietom krwawą zemstę - i tylko czekałem na okazję, aby ją zrealizować. Na razie musieliśmy siedzieć cicho, bo były wydane rozkazy, aby Sowietów nie ruszać, bo to nasi sprzymierzeńcy i oswobodziciele.

TYDZIEŃ PO NIEPOROZUMIENIU w Dylągówce, naprawiałem mojej gospodyni płót. Parę gwoździ tu i tam. Po skończonej pracy wskoczyłem na pożyczony rower i wybrałem się w odwiedzin do mojego starego kumpla Tacka Rybki w Dylągówce. Skręciwszy w polną drogę, skierowałem się w stronę domu Tacka, a tu, o dziwo, przy rowie leży wyciągnięty jak długi *starszyna* sowiecki i chrapie snem sprawiedliwego.

Zeskoczyłem lekko z roweru i na paluszkach

podszedłem do niego. Przekonawszy się, że rzeczywiście śpi, wyciągnąłem z kieszeni najdłuższy gwóźdź, jaki miałem, i bez namysłu, pomagając sobie kolbą pistoletu, wpakowałem go na całą długość w głowę sierżanta. Sowiecik tylko westchnął lekko i wyprężył się w dziwnych drgawkach, które po chwili ustały. Bez żadnej emocji, bez skrupułów, wsiałem na rower i ruszyłem w dalszą drogę.

Tadka Rybkę zastałem szczęśliwie w domu, a raczej obok domu. Siedział pod wielką lipą, trzymając na kolanach mocno okrągłą dziewczynę, której na imię było Mela, i całował się z nią namiętnie. Lubilem Tadka bardzo za jego humor i koleżeństwo. Miał 28 lat, był dużo starszy ode mnie, co jednak nie przeszkadzało nam w kolegowaniu się. Miał w konspiracji stopień sierżanta. [...] Widząc go teraz z tą panią Melanią, którą widziałem u niego wiele razy w dawniejszych jeszcze czasach, poczułem lekki niesmak. Tacy starzy, pomyślałem, a jeszcze im takie głupstwa w głowie. Przecież pocałunki i seks są dobre, ale tylko dla młodych, a nie dla takich spróchniałych ludzi pod trzydziestkę.

Wesoło było porozmawiać z nim o dawnych czasach. Po upływie jakiejs godziny dołączyło się do nas dwóch nowych gości, których Tadzik przedstawił jako kumpli z konspiracji. Znalazła się też butelka samogonu, najpierw jedna, potem druga i już po

godzinie wszyscy byliśmy na „ty” i śpiewaliśmy w najlepszej komitywie: *„Czy to z żyta, czy z buraków, a najlepsza jest z ziemniaków!”*. Nad ranem, spity jak nieboskie stworzenie, wróciłem na kwaterę do Nieborowa. [...]

Na drugi dzień, około południa, wyrwał mnie z głębokiego snu porucznik „Ryś”. Wpadł na moją kwaterę cały rozgorączkowany i w chaotycznych słowach zaczął mi opowiadać wojskowe wydarzenia polityczne. [...] Sandomierz jest już w rękach sowieckich, a w Warszawie wybuchło powstanie zorganizowane przez AK, pod dowództwem samego generała Bora-Komorowskiego. Połowa miasta jest już w rękach AK; wojska sowieckie są już na warszawskiej Pradze i jest tylko kwestią czasu, kiedy uderzą na Niemców z drugiej strony. Jednocześnie nasza cała Druga Placówka „Józefa” dostała rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Warszawy i udzielenia pomocy powstaniu warszawskiemu, oczywiście w kooperacji z Sowietami. [...]

Słuchałem uważnie, nie wypytując o szczegóły. Moje trzy lata w AK zrobiły swoje. Nauczyłem się trzymać usta zamknięte, nie robić żadnych uwag. Dziwiło mnie jednak, że skoro Sowieci są już na Pradze, potrzebna tam jest jeszcze nasza pomoc... [...] Nie próbowałem jednak prowadzić dyskusji o

tych sprawach z porucznikiem „Rysiem”. Ostatecznie [...] AK było teraz moim życiem i moim kawałkiem chleba. [...]

W tym czasie nie dbałem o swoje życie, tak jak nie dbałem o życie innych ludzi. Nie mając zakończonych szkół, w życiu cywilnym byłem zerem, a tu w AK nosiłem za pasem wielką spluwę i odgrywałem ważniaka. [...] Zawsze, odkąd pamiętam, byłem lepszy w strzelaniu niż w gramatyce łacińskiej. Nauczyłem się też ślepo wypełniać wydane mi rozkazy. [...]

DO WARSZAWY wyjeżdżamy następnego dnia rano, większość oddziału zasuwa chłopskimi furmankami w stronę Rzeszowa; nie udało mi się wcisnąć w jeden z dwóch samochodów, będących jeszcze na chodzie. [...]

Pierwsza nasza dziesiątka dojeżdża triumfalnie do ulicy 3 Maja w Rzeszowie, gdzie rzeczywiście Sowietów witają nas bardzo serdecznie. Na oczach ludności zaopatrują w benzynę, amunicję, prowiant, żegnają nas wylewnie, chyba tylko kwiatów brakuje. Jedziemy w dalszą drogę. Następny nasz postój to Sandomierz, bo inne szosy są nieprzejezdne. Jedzie się nam wesoło, śpiewamy na całe gardło: *„Rozszumiały się wierzby płaczące...”*. Aż tu nagle, 30 kilometrów przed Sandomierzem, w pustym polu,

na łące pełno karabinów maszynowych obsadzonych przez Sowietów.

Z początku myśleliśmy, że to zwykła kontrola na szosie. Ale gdy kazano nam stanąć z rękami do góry, od razu domyśliliśmy się strasznej prawdy. O jakimkolwiek oporze nie było mowy. Jeden strzał i rozsiekaliby nas z tych cekaemów w drobny mak.

Teraz zrewidowano nas dokładnie, ściągnięto nam z rąk biało-czerwone opaski i, po związaniu rąk z tyłu, wpakowano nas do wielkiej ciężarówki. Dwóch enkawudystów wsiadło z nami z bronią gotową do strzału, zsunięto w dół plandekę i bez słowa ruszyliśmy w nieznanym nam kierunku.

Ale cudownie nas zrobili - pomyślałem sobie - bez świadków, bez hałasu. Teraz zawiozą nas do cichego gaju, wykopimy sobie własne groby. [...] Pamiętałem, jak strzelałem do ludzi w ten sam sposób, pamiętałem, jak prosili bezskutecznie o darowanie im życia, więc teraz postanowiłem zginąć po bohatersku, bez najmniejszej nawet prośby. Żałowałem tylko, że pozwoliłem się tak głupio rozbroić; póki miałem parabelkę, mogłem sobie sam w łeb strzelić, przynajmniej uniknąłbym niepotrzebnej pracy fizycznej przy kopaniu grobu.

Moje rozmyślenia zostały przerwane niespodziewanie, gdy towarówka stanęła. Kazano

nam wychodzić pojedynczo, pod strażą dwóch nowych enkawudystów. Ja byłem czwarty z kolei; ze zdziwieniem zauważyłem, że zamiast w lasku, znajdujemy się w mieście. Na pewno Sandomierz - pomyślałem. Odseparowano mnie od kolegów i zaprowadzono do małego budynku, gdzie na pierwszym piętrze, w niedużym pokoiku, zaczęło się moje pierwsze przesłuchanie.

Przesłuchiwał mnie major NKWD, w starszym wieku, w obecności dwóch dragali z karabinami. Zadawał mi pytania w języku rosyjskim, a ja odpowiadałem mu po polsku, rozumieliśmy się świetnie. Podałem mu swój prawdziwy pseudonim, ale lewe nazwisko i fałszywy stopień szeregowca AK. Kłamałem tylko w ważniejszych wypadkach, aby się potem nie pomylić w razie ponownych pytań.

Z początku wszystko szło nieźle, dopóki nie dojechaliśmy do dwóch punktów: dlaczego należałem do AK, a nie do PPR (Polskiej Partii Robotniczej), oraz - gdzie dokładnie ukrywa się reszta mojego oddziału w rejonie rzeszowskim.

Próbowałem mu tłumaczyć, że nie mam pojęcia, gdzie znajduje się obecnie reszta mojego oddziału - prawdopodobnie wyjechali też na pomoc Warszawie - oraz że należałem do AK tylko dlatego, że w naszym rejonie PPR nie istniała. Oczywiście, to nie

była prawda, bo spotykaliśmy okazjonalnie małe patrole pepeerowców i we wszystkich wypadkach rozstrzeliwaliśmy ich na miejscu, wykonując ściśle rozkazy Komendy Głównej AK.

Po pewnym czasie major zauważył, że grzecznością ze mną wiele nie wskóra, więc skinął na swoich towarzyszy, z których jeden kazał mi podnieść ręce do góry, a drugi walnął mnie z całej siły kolbą karabinu w okolice nerek. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i poleciałem na podłogę. Gdy przyszedłem do siebie, znowu kilka pytań i znowu ten sam zabieg. W końcu poczułem smak krwi w ustach i straciłem przytomność.

Tym razem, gdy oprzytomniałem, zauważyłem, że siedzę w małej piwniczce bez okien, tylko z niewielkimi drzwiami. W pomieszczeniu tym znajdował się - oprócz małego krzeselka, do którego miałem przyjemność być przywiązany - duży reflektor, który całą następną noc mocnym światłem świecił mi prosto w oczy. Byłem teraz bardzo słaby i opuchnięty, o spaniu mowy nie było, trzymałem się resztkami sił i marzyłem o samobójstwie. To światło czuło się wszędzie... [...]

Większość dnia spędzałem związany jak baran, a poza tym byłem często odwiedzany przez różnych agentów NKWD, którzy mi obiecywali złote góry, jak sobie cokolwiek z mojej przeszłości przypomnę.

Obiecywali nawet kolację z kawiozem, ale na razie karmili mnie tylko sucharami moczonymi w wodzie. Ponieważ przez trzy dni nie byłem w stanie nic sobie przypomnieć, codziennie byłem przyprowadzany do pana majora na przesłuchanie. Kończyło się ono jak zawsze: dostawałem karabinem w plecy i nieprzytomnego ściągano mnie do piwnicy, gdzie po polaniu zimną wodą przychodziłem pomatu do siebie.

Na trzeci dzień wiedziałem już, że śmierć się zbliża. Byłem prawie pewien, że następnego przesłuchania nie przeżyję. Gdy szedłem po schodach do biura majora, czułem też pewnego rodzaju rezygnację. Ale jednocześnie byłem dumny z siebie. Tak, byłem dumny, bo dotrzymałem przysięgi, którą złożyłem na początku w AK, że nie wydam nikogo, a teraz ginę jak żołnierz za własną Ojczyznę. [...]

Major siedział za biurkiem, paląc spokojnie papierosa. Oczekiwałem zwykłych pytań z poprzednich dni, a potem normalnych smarów kolbą karabinową. Ale tym razem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, wszystko odbyło się inaczej. Major kazał tym dwóm, co mnie przyprowadzili, wyjść z pokoju i czekać za drzwiami. Następnie zaczął z innej beczki.

Tłumaczył mi, że jestem jeszcze bardzo młody, że te przesłuchania nie mają sensu, bo mnie w końcu tymi kolbami ubiją. Żebym wyśpiewał wszystko o



kolegach, którzy zostali w lasach, i uratował swoje życie. Zgodziłem się z nim w zupełności w pierwszym punkcie, ale co do spraw związanych z resztą mojego oddziału, to z góry oświadczyłem, że mu nic w tej kwestii pomóc nie mogę, bo po wyruszeniu na pomoc Warszawie wszystkie kontakty potraciłem.

Takie ujęcie sprawy rozgniewało mojego majora od razu. Wyciągnął z pochwy swoją tetetkę i, celując mi prosto w czoło, zapowiedział, że ubije mnie jak *sobakę*, jeżeli natychmiast nie zacznę odpowiadać. Jednak zamiast strzelić do mnie, podniósł się od biurka i wyrznął mnie kolbą pistoletu w zęby. Poczułem w ustach tak dobrze mi już znany smak świeżej krwi.

Teraz widzę, jak siada z powrotem za biurkiem i kładzie przed sobą ten pistolet. Następnie wstaje i bez słowa rąbie mnie pięścią w twarz, rozkrwawiając mi tym razem nos. Potem zamyślony odchodzi w drugą stronę pokoju. Przez zapuchnięte oczy widzę jego TT leżący na biurku, dwa kroki przede mną. Widocznie zapomniał go schować. Próbuję zebrać myśli, bo to może moja jedyna szansa. Muszę działać błyskawicznie, a znam ten pistolet przecież świetnie. Naboje butelkowe, niesłychanie mocne, magazynek na osiem sztuk, dziewiąty w lufie.

Zaczynam szybko kombinować. Jeden strzał i major leci! Wpadną ci dwaj, co mnie przyprowadzili,

dwa strzały i obaj gryzą ziemię. Potem wylatuję na korytarz. Posterunek alarmowy na pewno siedzi przed budynkiem; choćby ich było nawet dwóch, to po usłyszeniu strzałów polecą po schodach na górę. Schowany za ścianą, będę na nich czekał. W połowie schodów otworzę do nich ogień. O ile nie spudłuję ani razu, to dopiero pięć sztuk z mojej amunicji. Zostaną mi jeszcze cztery, na wypadek jakichś niespodzianek... Przy odrobinie szczęścia może dostanę się na ulicę. A jak mi się nie uda, to co właściwie mam do stracenia? Ostatnią kulę na wszelki wypadek zarezerwuję dla siebie...

I już, już miałem złapać za tę spluwę, gdy podświadomie zaczęły się budzić we mnie pewne wątpliwości. Żeby starszy człowiek i do tego w randze majora NKWD mógł takie głupstwo popełnić i tuż przed starym wyjadaczem z AK zostawić nabity pistolet? Nie, to chyba niemożliwe! Zacząłem się teraz wahać. Major widocznie to zauważył, bo podszedł jeszcze raz do mnie i przydzwonił mi znowu porządnie, po czym odmaszerował w drugą stronę pokoju.

Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości. Ten pistolet jest na pewno bez naboí. [...] Major wrócił za biurko i, siadając, tylko machnął ręką. Wyjął teraz drugi, nabity pistolet z kieszeni i bez ceregieli włożył go do pochwy. A ten, co leżał na biurku, wrzucił

spokojnie do otwartej szuflady.

I teraz stał się cud! Nie byłem już więcej bity. Zostałem tylko zapytany, czy skoro w naszych stronach nie było partyzantki PPR, to może bym chciał naprawić stare błędy, zapisując się do polskiej komunistycznej armii generała Berlinga i w jej szeregach przyczyniać się do oswobodzenia Ojczyzny i do budowania nowej Polski Ludowej.

Widocznie mój instynkt samozachowawczy działał jeszcze jako tako, bo zgodziłem się na wszystko bez wahania. Przyniesiono mi jakieś papiery, które podpisałem bez sprzeciwu, nie czytając ich nawet. Dopiero teraz oświadczono mi oficjalnie, że znajduję się w Sandomierzu i że od tej chwili zostaję przydzielony do 2 Zapasowego Pułku Piechoty w Rzeszowie, dokąd będę odtransportowany następnego dnia o świcie.

Gdy na drugi dzień znalazłem się w Rzeszowie, nie chciało mi się wierzyć, że jeszcze jestem przy życiu. Choć przez następne trzy dni bez przerwy plułem krwią, nie martwiłem się już tym specjalnie. [...]

O ILE WOJSKO SOWIECKIE było godne pożalowania, to z tej całej polskiej armii Berlinga można się było naprawdę uśmieć. Z początku na niewiele rzeczy mogłem zwracać uwagę, bo tak

byłem chory po moich przejściach w Sandomierzu, ale gdy po trzech dniach zacząłem powoli wracać do siebie, wiele dziwnych rzeczy rzuciło mi się w oczy. Przede wszystkim umundurowanie. Koszary mojego 2 pułku zapasowego były położone nad samą rzeką Wisłok w Rzeszowie i w nich kwaterowało przynajmniej 2 tysiące żołnierzy. Owszem, mieli mundury ci żołnierze albo raczej ich kawałki, bo kto miał spodnie od munduru, to góry mu brakowało, a kto miał tę górną część, to znowu nosił spodnie cywilne. A prawie nikt nie posiadał tutaj pary obuwia.

Po tygodniu dowiedziałem się, że buty jednak są, tylko w niedostatecznej ilości. To znaczy, że na jeden pluton, składający się z sześćdziesięciu żołnierzy, przypadała jedna para butów. A więc dla kogo te buty? Rozwiązano to w bardzo prosty sposób. Ponieważ każdy pluton wystawiał codziennie jednego wartownika przed budynkiem koszarowym, ten właśnie wartownik paradował w eleganckich butach.

Miałem zapuchniętą twarz i sine plecy, toteż przez ten okres byłem gościem miejscowej infirmerii [izby chorych]. Wolno mi było wychodzić na podwórze koszarowe; żadna służba mnie nie obowiązywała.

Gdy mnie trochę podleczone, zostałem wezwany do biura samego kapitana, dowódcy pierwszej kompanii. Widocznie poinformowano go o mojej przeszłości, bo w ogóle się nie interesował moim

wyglądem, tylko zaczął dopytywać o wykształcenie i zdolności fachowe. Nie mogłem, choćbym nawet chciał, pochwalić się ani jednym, ani drugim, ale ucieszył się wyraźnie, gdy mu powiedziałem, że mam skończony kurs traktorowy i że umiem prowadzić samochód. Wobec takiego obrotu sprawy, z miejsca zostałem przydzielony do plutonu motorowego. Tam zgłosiłem się do porucznika, ten akurat miał jeepa, do którego potrzebował szofera. Po krótkiej próbie zdałem łatwy egzamin i miałem już wóz podlegający mojej opiece.

Tego samego dnia ostrzyżono mnie na pałę, co tu było normalną procedurą u rekrutów. Najgorsza jednak rzecz była ze spaniem. Pierwszej nocy oka nie zmrużyłem!

Musiałem teraz sypiać z resztą moich nowych kolegów z motoryzacji. W tyle garażu było wprawdzie miejsce na spanie, ale nie było łóżek ani nawet żadnej pryczy. Cały garaż był wycementowany, kładliśmy na ten cement deski lub stare, nie nadające się do użytku drzwi i w ten sposób się tam nocowało, nie mając nawet koca do przykrycia. Ten koniec garażu był odgradzony tylko cienką dyktą od oryginalnego ustępu męskiego składającego się z przynajmniej dwudziestu wygódek. Z tego ustępu korzystał dosłownie cały pułk wojska... Zapach unosił się w powietrzu też na

wielką skalę, nie mówiąc już o hałasie, jaki wydawali ci ludzie, prawie codziennie grochem lub fasolą karmieni.

Nie miałem złe, moja praca polegała głównie na wożeniu jeepem oficerów w różne miejsca. Najczęściej wyjeżdżaliśmy do Lublina, gdzie w tym czasie znajdowała się główna kwatera tej nowej Polski Ludowej. Zauważyłem jednak, że nie wierzono mi zbytnio, bo z początku nawet po głupią benzynę nie wolno mi było samemu wyjechać za bramę. Ale co ma wisieć, nie utonie.

Po trzech tygodniach kazano mi pojechać do miasta po zaopatrzenie dla kompanii. Ponieważ każdy wyjazd za bramę musiał być zaopatrzony w odpowiednie dokumenty, zgłosiłem się w dyżurce po papiery, które - ku mojemu zdziwieniu - tym razem otrzymałem bez trudności. Widocznie nareszcie uznano mnie za „swojego”!

Wartownik po ciemku nie zauważył mojego szyderczego uśmiechu, gdy wyjeżdżałem za bramę, nie zauważył również, że skręcając na most rzeszowski, dodałem gazu, aż do deski. Wreszcie byłem wolny! Znowu los uśmiechnął się do mnie, znowu wyszedłem cało z poważnych tarapatów. Teraz - myślałem - z powrotem do oddziału, do partyzantki, dalej bić wroga, choć tym razem w innych mundurach.

Po paru minutach znalazłem się na ulicy Grunwaldzkiej, gdzie mój znajomy miał warsztat samochodowy. Po wjeździe na dziedziniec i po zamknięciu bramy wytłumaczyłem mu sytuację. Bez słowa protestu zawołał drugiego mechanika, który zaczął mojego jeepa rozkręcać do śrubki. Ostatecznie części samochodowych brakowało, więc nic dziwnego, że obydwaj mieli teraz wesole miny. Mnie też nie zrobili krzywdy. Dostałem od nich stare ubranie, okulary i 3 tysiące złotych w gotówce.

## POWRÓT

WRÓCIŁEM do Nieborowa. [...] Obszedłem nasze stare kwatery i zastałem w nich zaledwie kilku chłopców. Z mojej drużyny, która ze mną wyjechała do Warszawy, uratowało się tylko dwóch: Bronek Pieniowski i Jędrzek „Słowik”. Reszta przepadła bez śladu. [...] Ponieważ straciliśmy również porucznika „Rysia”, bezpośrednim dowódcą został teraz mój bliski kolega Tadzik Rząsa, stary partyzant, z którym nawet brałem udział w kilku robotach. [...]

Pamiętam, jak niecały tydzień po moim powrocie siedzieliśmy na kwaterze jednego z koleżków, popijając jak zwykle samogon, gdy nagle temat rozmowy zszedł na naszą przyszłość. Ku mojemu dużemu przerażeniu zauważyłem, iż wielu chłopców uważa, że nasze zadanie jest już wykonane, że czas przejść do cywila, pokończyć szkoły i zabrać się do uczciwej pracy. Przy naszych „chodach” o lewe papiery nie byłoby trudno. [...]

Ja ze zrozumiałych powodów martwiłem się o swoją skórę. Byłem tak „spalony” w całym powiecie rzeszowskim, że żadne lewe papiery by mi nie pomogły. [...]

Nasza dyskusja została przerwana przez posłańca od księdza Ostrowskiego(\*), który oświadczył, że ksiądz chce się widzieć ze mną i to jak najprędzej.



Ksiądz Ostrowski był naszym kapelanem wojskowym i prawie całą wojnę spędził w Hyżnem, urzędując głównie na wikarówce przy kościele parafialnym. [...] Lubiany był przez całą brać partyzancką za swoją odwagę i dużą dozę młodzieńczego humoru. Pamiętam go dobrze z czasów, kiedy siedział między nami przy ognisku w lesie, śpiewając melodyjnym głosem: „*Pan Jezus malutki, malutki, nieduży, siedzi se na miedzy i fajeczkę kurzy...*”. [...]

**{\* Chodzi o ks. Mieczysława Bossowskiego „Żbika”, wikariusza w Hyżnem, u którego mieszkał ostatni dowódca Placówki AK Hyżne Stanisław Ostrowski „Orzeł”, podawał się za brata księdza - stąd najprawdopodobniej pomyłka w nazwisku.}**

Księdza Ostrowskiego poznałem parę miesięcy przed swoim wstąpieniem do AK. Byłem od dziecka wychowany w bardzo religijnej atmosferze, jako młody chłopak udzielałem się wiele, chodziłem co tydzień do spowiedzi, w każdy pierwszy piątek miesiąca przyjmowałem komunię świętą i często służyłem do mszy - w wielu wypadkach właśnie księdzu Ostrowskiemu. [...]

Później, gdy byłem w dywersji, już nam do kościoła nie było wolno chodzić ze względów bezpieczeństwa, jednak we mnie religijność pozostała przez ładnych parę lat. Idąc nieraz na roboty, robiłem po cichu układy z Panem Bogiem, że

jeśli mi się poszczęści i danego skurczybyka odpowiednio naszpikuję ołowiem, to przez następny tydzień będę dobry i czysty w myśli, mowie i uczynku...

I te piosenki, które ciągle kazano nam śpiewać: „*Szarża, jak wichur mkną konie, padł młody ułan na błonie, w oczach zwycięstwo mu płonie, daje Ojczyźnie swą krew... A w pękach bżów, gdzie altana, zrywa się ciche wołanie, nie czekaj dziewczę ułana, ułan nie wróci na zew... Znajdziesz na polu z brzozy krzyż w kwiatkach grób, to dla Ojczyzny, jak graniczny ten słup, tam ukochany rycerz twój trzyma straż, nie płacz, z łez otrzyj twarz, z jego krwi Polskę masz!*”. Nie jest to piękne? Nic dziwnego, że każdy z nas śmierci szukał, gdy się tego rodzaju piosenki ciągle śpiewało.

Po przybyciu na wikarówkę i po złożeniu krótkiego raportu księdzu Ostrowskiemu, zostałem przedstawiony dwóm panom, którzy się tam znajdowali. „*Kapitan «Draża» i porucznik «Belabes»* [Józef Szajda] - *kapral «Żbik»*” - zakończył krótkie formalności powitalne ksiądz Ostrowski. Zostałem też poinformowany, że ci dwaj panowie to dowódca i zastępca dowódcy jednostki dywersyjnej 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Dowiedziałem się, że oddział ten dostał się na tereny rzeszowskie w czasie akcji „Burza” i że wcześniej operował wyłącznie na

terenach lwowskich.

Obecnie znaleźli się w tej samej sytuacji, co nasz oddział „Józefa”, postanowili się nie ujawniać i prowadzić dalszą walkę na terenach rzeszowskich. Ponieważ nie znają ich, potrzebują miejscowego partyzanta za przewodnika, więc ksiądz Ostrowski mnie zarekomendował. Ucieszyłem się z takiego obrotu sprawy, bo rzeczywiście znałem tu każdy zakątek, krzaczek czy drzewo. [...]

Było już po północy, gdy pożegnałem się z księdzem Ostrowskim i wyruszyłem z „Drażą” i „Belabesem” w stronę byłego folwarku hyżneńskiego, gdzie czekała na nas reszta lwowskiej Czternastki. Po krótkiej odprawie, podczas której zostałem przedstawiony reszcie oddziału, wyruszyliśmy w teren tej samej jeszcze nocy. Wioska Szklary, położona 5 kilometrów od Hyżnego, była naszym pierwszym etapem i moim pierwszym zadaniem w roli przewodnika. Prowadziłem oddział przez połą, najkrótszą drogą, tak że po godzinie byliśmy na miejscu. [...]

Mowy nie było, aby w tej małej wiosce cały oddział mógł kwaterować. Zauważyłem, że „Draża” miał tu swoje własne kontakty i że był oczekiwany. Byłem też zaskoczony sprawnością, z jaką nasz sołtys rozprowadzał chłopców po kwaterach. Wybierał gospodarzy, których wojna jeszcze nie

zrujnowała kompletnie i których stać było na wyżywienie przynajmniej jednego partyzanta. Mnie też przydzielono tu kwaterę, ale przez pierwsze dwa dni nie mogłem z niej skorzystać, bo musiałem jeszcze tej samej nocy, prawie nad samym ranem, udać się do sąsiadującej wioski Harta, gdzie została powtórzona procedura zakwaterowania reszty oddziału.

Od razu zauważyłem, że „Draža” był przez wszystkich swoich partyzantów bardzo lubiany i to, jak się wkrótce dowiedziałem, nie bez powodu. Był Serbem z pochodzenia, mówił jednak poprawną polszczyzną, choć z lekkim akcentem, do tego był świetnie zorientowany w naszej sytuacji. [...] Kochali go wszyscy jak własnego ojca, który choć prowadzi swoje dzieci żelazną ręką, to jest jednak zawsze sprawiedliwy i o wszystko się troszczy. Akcje planował starannie i w wielu z nich sam brał udział, zawsze bardzo dbał o życie swoich żołnierzy, o czym się sam miałem przekonać. Gdy go teraz poznałem, był w stopniu kapitana, miał 32 lata, wysoki, przystojny. [...]

Niedługo po naszym zakwaterowaniu się w Szklarach i Harcie, zostaliśmy pod chwilową opieką „Belabesa”. Nie był to jedyny raz, kiedy „Draža” [...] wyjeżdżał w teren. Ponieważ od samego początku bardzo mnie polubił, często wyznaczał mnie jako

swoje ubezpieczenie. Jednak w teren nie wyjeżdżałem z nim nigdy, a te jego „wycieczki” były utrzymywane zawsze w tajemnicy. [...]

Pierwszy miesiąc, jako nowo upieczony żołnierz Czternastki, spędziłem w zupełnej bezczynności. W Szklarach musieliśmy się teraz mieć na baczności, aby nie było wsypy, a to dlatego, że pewnej pięknej nocy zawitała w nasze strony cała dywizja wojska sowieckiego. Było to wojsko frontowe, nieinteresujące się zupełnie sprawami wewnętrznymi, jednak musieliśmy bardzo uważać, żeby nie zauważyli czegoś podejrzanego.

Aby nie zwracać na siebie uwagi, udawaliśmy członków rodzin miejscowych gospodarzy i kręciliśmy się koło gospodarstw, wyrzucając gnój lub pracując w polu. W mojej chałupce kwaterował teraz ze mną żołnierz sowiecki, który spał na strychu, ja zaś nocowałem w głównej izbie na otomanie. W tył otomany wbitem porządnym gwóźdź, na którym od tej strony, która przylegała do ściany, wisiał mój automat. Resztę uzbrojenia - granaty, pistolet i amunicję - trzymałem schowaną w pościeli. Sytuacja była arcykomiczna; każdego ranka łapałem teraz za widły i uwijałem się koło gospodarstwa. Nie było to do pomyślenia za Niemców, tylko takie barany jak Sowietci mogli się nabrać na podobny kawał! [...]

Raz w tygodniu urywałem się na tak zwane

chałupki - do innych chat, gdzie nie kwaterowali nasi chłopcy. Tam można było śmiało popić z sowieckimi żołnierzami i przy odrobinie szczęścia odkupić od nich trochę broni lub amunicji. Szczególnie opłacał się handel wódką. A za zegarek to każdy Sowiec ściągnąłby sobie z pleców karabin maszynowy i oddał bez wahania.

Po ucieczce z armii Berlinga zaopatrzyłem się w rosyjską pepeszkę, tak że przynajmniej teraz nie musiałem się martwić o amunicję, którą zawsze od Rosjan można było wyszabrować. Zresztą uważałem, że rosyjska pepeszka jest lepsza od niemieckich automatów. Miała szybszy ogień, cudowny rozrzut i co najważniejsze, gdy się używało magazynków 32-strzałowych, to nie zaciniała się nigdy i wymagała dużo mniej opieki i czyszczenia.

I tak przez cały październik 1944 żyło się w Szklarach jak u Pana Boga za piecem. Nawet Sowecik, co kwaterował w tym samym domu, zaprzyjaźnił się teraz ze mną, myśląc, że jestem synem gospodarza. Często graliśmy wieczorami w „durnia” (popularną na wsiach grę karcianą), spędzając razem czas na wesoło.

Nasza sielanka skończyła się jednak zaraz na początku listopada, gdy nasz żołnierz, wraz z całą swoją dywizją, odmaszerował na dalszą wojnę z „Giermańcem”. Zostaliśmy nareszcie sami, mogliśmy

zbierać się ponownie na polanach leśnych, śpiewać piosenki, maszerować i ćwiczyć.

Wielki nacisk był kładziony na musztrę wojskową i sztabowe ćwiczenie bojowe. [...]

PO ODEJŚCIU Sowietów ze Szklar, dołączył się do Czternastki mój były koleżka z Drugiej Placówki, Jędrzek „Słowik”. [...] Uściskaliśmy się serdecznie, bo z naszego poprzedniego oddziału łączyło nas wiele wspomnień, a nawet byliśmy razem w kilku akcjach. Był z niego stary zabijaka, tylko że jego styl był inny od mojego. W tych groźnych czasach lubiłem sobie wypić, ale na roboty chodziłem zawsze trzeźwy. „Słowik” miał natomiast tę głupią naturę, że przed każdą czekającą go akcją musiał sobie golnąć parę głębszych „na odwagę”. [...]

A picie w oddziałach partyzanckich było surowo zabronione. U „Draży” było nawet niepisane prawo: „za kieliszek wódki kula w łeb”. Jednak wszyscy pili i wszyscy wiedzieli, że wszyscy piją. Straszyć nas karą śmierci to tak, jakby straszyć złodzieja, że go pošlą na probację [do więzienia].

PIERWSZA MOJA ROBOTA w Czternastce całkowicie się nie powiodła. [...] Zaczęło się od tego, że nasz wywiad podał do dowództwa informację o pewnej młodej parze narzeczonych, która z zapalem przekazywała różne niebezpieczne informacje

miejscowym komunistom. „Draża”, po krótkiej naradzie z „Belabesem”, wydał na tę parę wyrok śmierci. Ponieważ Jędrak „Słowik” znał ich dobrze, został wyznaczony wraz ze mną i moim nowym kolegą z Czternastki „Luisem” [Lucjanem Jaśkiewiczem] na tę robotę. [...] Gdy ją planowaliśmy, wszystko wyglądało łatwo. Parę strzałów w tył głowy i po krzyku.

Rzecz działa się już w listopadzie, nic dziwnego, że pola były przyprószone lekkim śniegiem i ścisnął mroźnik, gdy wyruszyliśmy ze Szklar w sobotę po południu, kierując się w stronę Bachorza. Droga nie była przyjemna, szliśmy przez pola, śnieg w niektórych miejscach był powyżej kostek, tak że już po paru kilometrach czułem, że przemiekają mi buty. Zaczęliśmy wraz z „Luisem” narzekać, jakie życie jest podłe, gdy w taką pogodę tylko psy dają się wygnać z domu. „Słowik” nie narzekał, ponieważ jak zawsze przed wymarszem napił się samogonu, tak że teraz było mu ciepło, wesoło i nawet chwilami pogwizdywał sobie coś pod nosem.

Gdy przyszlismy do Bachorza późnym wieczorem, byliśmy już tak wypompowani, że zdecydowaliśmy przełożyć wykonanie roboty na następny wieczór, ażeby zebrać trochę sił na drogę powrotną. Pomógł nam w powzięciu tej decyzji sam „Słowik”, który oświadczył, że ma tu na miejscu znajomą



dziewczynę, więc nie powinniśmy mieć trudności z noclegiem. Rzeczywiście, wszystko poszło jak po maśle. Dziewczyna się znalazła i to wraz z rodzicami i okazałą chałupką.

Po godzinie byliśmy już nieźle zakwaterowani, pokazała się też na stole kolacja wraz z pełną litrówką samogonu. Później oczywiście parę piosenek w półmroku i wszyscy zabraliśmy się do spania. Ja z „Luisem” na podłodze, a dzielny „Słowik” wpakował się do łóżka dziewczyny.

Zajął mi dość długo, zanim usnąłem. Po pierwsze, łóżko z dziewczyną i „Słowikiem” zaczęło skrzypieć niemiłosiernie, a po drugie - co i raz panna krzyczała: *„O Jezusku, o Jezusku, już, już, już!”*. „Luis” znosił to wszystko ze stoickim spokojem, ale w końcu i jego zaczęło to denerwować, bo mruczał: *„A czegoż ta cholera taka religijna...”*.

Obudziłem się niewyspany i w złym humorze, dopiero na widok świńskiej kielbasy przy śniadaniu poczułem się lepiej. Do tego moje mokre onucki przeschły przy kuchni, więc miałem teraz suche nogi. Cały dzień spędziliśmy w chacie dziewczyny „Słowika”, nie wychodząc ani na krok, aby nie wzbudzić podejrzeń we wsi.

Gdy ściemniło się zupełnie, po krótkim pożegnaniu wysliznęliśmy się z chaty na robotę, która miała się

od być tylko o kilka domów dalej. Jak zwinne koty bezszelestnie podlatujemy pod okna domu wyznaczonego przez „Słowika”. W środku palą się światła, pełno ludzi, jakaś zabawa się szykuje. [...]

To zbiorowisko ludzi nie przestraszyło nas tyle, co pięciu tęgich sowieckich żołnierzy siedzących na ławie pod ścianą, z opartymi obok karabinami. Nic dziwnego, że Władkiem (bo tak było na imię naszemu kandydatowi na nieboszczyka) dowództwo AK się nie zachwycalo. W każdym razie wycofujemy się chwilowo, aby się naradzić. Tutaj dopiero „Słowik” nas informuje, że choć Władzio siedzi w samym środku izby, to jego narzeczonej ani śladu.

Następuje więc mała konsternacja, bo do likwidacji potrzebni są nam oboje. [...] Decydujemy w końcu wszystko przełożyć jeszcze o jeden dzień i wrócić na noc do dziewczyny „Słowika” [...].

Mieliśmy już odchodzić, gdy wtem, przyczajeni przy parkanie, słyszymy, jak otwierają się drzwi frontowe i ktoś zasuwa prosto w naszą stronę. Gdy sylwetka zrównała się z naszym płotem, „Słowik” zrobił jeden krok do przodu, przyjrzał się dokładnie idącemu i, popchnąwszy go z całej siły w moją stronę, krzyknął na całe gardło: „*Rżnij!*”.

Zrozumiałem z miejsca, o co chodzi. Przyłożyłem błyskawicznie pepeszkę do twarzy i pociągnąłem za

spust. Błysk ognia i ciszę nocną przerywa długa seria z automatu... Postać, jak rażona piorunem, leci bez słowa na ziemię. Mieliśmy dużo szczęścia, że z tyłu ludzi znajdujących się w domu akurat pan Władzio wyszedł i wystawił się tak pięknie na odstrzał.

Wiemy z koleżkami pod stromą górką, aby tylko jak najdalej od tego domu z pięcioma dobrze uzbrojonymi Sowietami. Ci rzeczywiście nie dali długo na siebie czekać. Usłyszawszy raban pod chałupą, wyskoczyli na dwór z karabinami, a zobaczywszy nasze sylwetki daleko już teraz na białym śniegu, otworzyli w naszą stronę silny ogień. Na szczęście strzelali z miejsca, nie ryzykując otwartego ataku. [...]

Jeszcze parę minut i dobiegamy do szczytu góry, na której znajdowało się parę samotnych chałupek. I tu stała się rzecz najdziwniejsza. Z jednej z chat wypadła dziewczyna i, kierując się biegiem w naszą stronę, zaczęła krzyczeć rozpaczliwym głosem: „*Władek, gdzie jesteś? Władek, czy to ty? Co się tam dzieje?*”. I tak pokrzykując, zrównała się z naszą trójką.

Ponieważ śnieg leżał wszędzie, pomimo nocy nasze twarze było widać wyraźnie. Widziałem, jak uspokoiła się nieco, gdy zobaczyła „Słowika”. „*Jędreku, co ty tu robisz?*” - zagadnęła z mniejszą obawą w głosie. Nie doczekała się jednak

odpowiedzi. „Słowik” bez słowa przyłożył jej pistolet do głowy i pociągnął za spust. Leciła na ziemię, a ja, będąc święcie przekonany, że to jest skazana na śmierć narzeczona Władka, poprawiłem jeszcze krótką serią z mojej pepeszki.

Strzały ucichły, słyszeć było tylko dochodzący z daleka płacz. Zaczął prószyć śnieg, gdy doszliśmy do granicy lasu szklarskiego, a stamtąd z powrotem do kwatery.

Po dwóch dniach znajduję się na odprawie części oddziału, która była zakwaterowana w Szklarach. Porucznik „Belabes” wydaje rozkazy dowódcom drużyn: *„Wszyscy przenosimy się tymczasowo do Piątkowej, aby lepiej zgrupować nasz oddział. Musimy usunąć się ze Szklar, zwłaszcza teraz, po tej nieudanej likwidacji w Bachorzu”*. Nastawiłem uszu. Po jakiej „nieudanej” - myślę - przecież wszystko poszło jak po maśle.

Po skończonej odprawie proszę „Belabesa” o wytłumaczenie. Dopiero teraz wszystko zrozumiałem. Władek został „zrobiony” przepisowo, ale dziewczyna wcale nie była narzeczoną Władka, tylko jego siostrą. [...] Więc dlaczego zginęła? Jest tylko jedno wytłumaczenie. „Słowik” znał obydwie dziewczyny osobiście i one znały jego. [...]

Nie mógł sobie pozwolić na to, aby siostra

Władka rozpowiedziała wszystkim we wsi, kto zastrzelił jej brata, więc po prostu palnął jej w łeb, aby nie było świadków.

Uważam ten wypadek za bardzo tragiczny: zabita dziewczyna była podobno bardzo lubiana we wsi, a nie godziwszy się z poglądami swojego brata, nawet kilkakrotnie miała go ostrzegać, by nie mieszał się w polityczne sprawy, które w końcu mogą skończyć się tragicznie. I tak też się skończyły, także dla niej. Straciła swoje młode życie. Zupełnie niepotrzebnie. Ale wtedy myślało się też inaczej. Każdy kto umierał, umierał za Ojczyznę. Tak nas wychowano.

W PIĄTKOWEJ moje życie towarzyskie układało się nie najgorzej. Moja kwatera znajdowała się w sąsiedztwie dwóch wspaniałych chłopców „Przytulskiego” i „Ucha”. „Przytulski” był małego wzrostu, cieniutki i wąły, pistoletem wiele nie wywijał, ale że babiarz był z niego wielki, więc lubiłem się z nim wypuszczać „na dziewczynki”. Ponieważ nie grzeszył specjalnie inteligencją, a figura jego i wzrost również zostawiały wiele do życzenia, dziwiło mnie jego specjalne powodzenie u kobiet. Dopiero pewna Helenka wytłumaczyła mi wszystko po swojemu: „Może *tam i głowa jest pastusza, ale za to spód ma on gospodarczy!*”.

„Ucho”, podobnie jak „Przytulski”, nie chodził na likwidacje, natomiast płcią piękną dużo mniej się

interesował. Za to do wypicia to nie miał sobie równego, mógł wypić za dwóch. Lubilem go bardzo, bo w wolnych chwilach przyjaciół do picia „wody od wściekłej krowy” nigdy nie było za dużo. Miał przecudny głos, znał masę piosenek i mógł śpiewać godzinami.

Czternastka posiadała w sobie tyle utalentowanej młodzieży. Każdy z tych chłopców miał jakąś specjalność i do czegoś się nadawał. Panowało między nami też ogromne koleżeństwo, które chyba tylko przez życie w lesie można w takim stopniu wyrobić.

Nikt też na świecie nie umiał się tak bawić, jak nasza brać partyzancka. Jedzenia to może i nieraz brakowało, ale wódki nigdy.

Przyszło się z wizytą do gospodarza na wsi, to nie częstowano jedzeniem, najwyżej kawałek suchego chleba na stół wjeżdżał, za to butla własnej roboty znaleźć się musiała. Kieliszek przeważnie był tylko jeden, z którego, według utartej tradycji, pierwszy przypijał gospodarz, aby gościom udowodnić, że to nie żaden denaturat, od którego oślepnąć można, ale solidna wódeczka własnej roboty, z której cała zagroda dumna być może. Dla udowodnienia jej siły brał też często w rękę zapaloną zapalną, którą później przytknął do nalanej na łyżce wódki, a ta z kolei zapalała się natychmiast jasnoniebieskim

plomieniem. To był już ostateczny dowód, że jego wódka jest pierwszej jakości.

Po paru „głębszych” uczestnikom zaczynały się szklić oczy i potężne ryki pierwszej śpiewanej piosenki zaczęły napełniać izbę. Zaczynało się zwykle grzecznie. Potem przychodziła kolej na mało przyzwoite piosenki.

Na koniec zaczynały się piosenki mocno zaczepne, skierowane do niewidzialnego nieprzyjaciela i te nieraz trzeba było popierać siłą ogniwą. Bractwo wtedy wyciągało pistolety i, ku przerażeniu gospodarzy i miejscowych gości, zaczynało walić w powalę, że aż tynk z sufitu leciał zebrany na głowę. Ta strzelanina zaczynała się zwykle dobrze po północy, kiedy koleżkom porządnie już kurzyło się z czupryn, tak że protestować nikt nie miał odwagi.

TO SMUTBY FAKT, że po wkroczeniu Sowietów były na wsiach jednostki, które nie tylko wstępowały do milicji, ale również zapisywały się do partii - z przekonania lub też by dochrapać się wyższych stanowisk. [...] Ten „udział w życiu politycznym narodu” zaczynał się od pomagania w likwidacjach różnych „elementów reakcyjnych i kapitalistycznych”. To ostatnie dotyczyło oczywiście AK, choć przysięgam, że w tym czasie nie miałem ani grosza przy duszy - biedny byłem jak mysz kościelna.

Trzeba się jednak było bronić przed takimi „towarzyszami”, a najlepsza obrona to było trzasnąć ich w łeb od razu, zanim nabiorą większej siły.

Wiedział też o tym nasz dowódca „Draża” i gdy mu doniesiono, że trzech takich panów zamieszkuje w Borku Starym, gdzie stale uczęszczają na różne komunistyczne wiece oraz jeżdżą na konferencje partyjniaków do Rzeszowa, aby później podburzać miejscową ludność, wydał na nich bez ceregieli wyrok śmierci.

Poszedłem na tę robotę z „Luisem” i „Szoferem” [Feliksem Maziarskim], z tym że po wykonaniu zadania miałem jeszcze przyprowadzić trzech chłopców od „Draży”, którzy dopiero teraz, mocno spóźnieni, dołączali się do oddziału. [...] Na tej kwaterze, do której dobiliśmy prawie przed wschodem słońca, [...] „Luis” z „Szoferem” z miejsca uderzyli w kimono, aby nabrać sił na wieczór. [...] Gdy się dobrze ściemniło, poszliśmy na likwidację. [...]

Pierwszych dwóch panów zabraliśmy ze sobą bez trudności. Zobaczywszy przez okna mundury bezpieki (w których byliśmy), wpuścili nas do środka bez oporu i łatwo też połknęli naszą historyjkę, że muszą w ważnej sprawie jechać z nami natychmiast do Rzeszowa. Kłopot dopiero zaczął się z tym trzecim, najważniejszym „towarzyszem”. Według jego żony,



która nam otworzyła drzwi, „nie zastaliśmy go w domu”.

I może by sobie chłopina życie uratował, bo już mieliśmy wychodzić, ale żona „towarzysza” z kolei zapytała nas, czy znamy jakieś hasło. Oczywiście, bojąc się likwidacji, jej mąż umówiony był z bezpieczeńką, że gdy kiedykolwiek ktoś będzie miał do niego interes, to posłuży się specjalnym hasłem. To jej pytanie pogrzebało go natychmiast. Znaczyło, że mążulek jest, tylko na razie gdzieś mocno ukryty. Nie było więc rady...

Wyjęliśmy wszyscy pistolety i podczas gdy „Szofer” i „Luis” trzymali tych dwóch przyprowadzonych z nami panów w szachu, ja przystawiłem swoją parabelkę do głowy babulinki i dałem jej, z zegarkiem w ręku, trzy minuty na wskazanie kryjówki męża. Gdy już głośno zacząłem wyliczać ostatnie sekundy, rozpłakała się na cały głos i zaczęła wołać w stronę męża ukrytego na strychu głęboko w słomie: „Ach, *Wojtek, zejdziesz tu na dół, bo mnie te cholery naprawdę jeszcze zabiją!*”. Zaraz też poruszyła się słoma na strychu i gospodarz domu pokazał się na drabinie.

Teraz zabieramy wszystkich panów do niedalekich okopów, wykopanych jeszcze przez Niemców. Ustawiamy skazanych jeden obok drugiego na nasypie. Strzelam wraz z „Szoferem” z odległości

paru centymetrów w tył głowy, on do tego z lewej, ja do tego z prawej. Do środkowego „towarzysza” wystrzeliliśmy prawie równocześnie. To była nasza najgrubsza ryba!

ZAWSZE BYŁEM perfekcjonistą we wszystkich moich poczynaniach, czy to w sporcie, czy też w pracy zawodowej. Zawsze próbowałem być w czołówce. I w AK nie byłem inny. Traktowałem moje zadania poważnie, a - będąc specjalistą od likwidacji ludzi - wykonywałem polecone mi wyroki bez emocji, ze stoickim spokojem, ciesząc się, że jestem potrzebny. Zdawałem sobie sprawę, że bez takich jak ja nasza dywersja istnieć by nie mogła.

Lecz nawet takim typom jak ja zdarzały się nieraz roboty, które budziły ogromne wyrzuty sumienia i których wspomnienie dręczyło całe lata. [...]

W grudniu 1944, jakieś dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, dostałem rozkaz od samego porucznika „Belabesa”, abym udał się jako ubezpieczenie naszej sanitariuszki „Nuśki” do wsi Borek Stary, gdzie na meldunki czekać będzie łącznik z innego oddziału. [...] Ja i „Nuśka” wyruszyliśmy dziarsko w stronę Borku wczesnym popołudniem, nie spodziewając się żadnych nieprzyjemności po drodze.

Uzbroiłem się tylko w moją kochaną parabelkę z

dwoma zapasowymi magazynkami w kieszeni. Pod wieczór, gdy się już ściemniło, przechodziliśmy przez Hyżne, więc postanowiliśmy wstąpić w odwiedziny do księdza Ostrowskiego na jego wikarówkę przy cmentarzu. Byliśmy pewni godziny odpoczynku i ciepłej herbaty.

Księdza Ostrowskiego rzeczywiście zastaliśmy na wikarówce i tym razem również nie był sam. Czterej goście siedzieli w pełnym uzbrojeniu przy stole i prowadzili między sobą żywą dyskusję, pochyleni nad jakimiś papierami. Poznałem jednego z nich i ucieszyłem się na jego widok. To Tadzik Rząsa, mój były kumpel z dywersji od „Józefa”. Przywitaliśmy się serdecznie. „Nuškę” też mile powitano, a gdy za chwilę ciepła herbata wjechała na stół, nasze humory poprawiły się stukrotnie.

Ksiądz Ostrowski poklepywał mnie jakoś specjalnie serdecznie, powtarzając za każdym razem: *„Chyba sam Pan Bóg mi ciebie na dzisiejszy wieczór przysłał”*. W końcu, widząc moje zdziwienie, wyjaśnił mi, o co chodzi. We wsi Hyżne jest wielka wyspa. Na posterunku milicji, oddalonym o pół kilometra od wikarówki, znajduje się długa lista, bo aż 90 osób, które w czasie okupacji należały do konspiracji. Według tej listy już za parę godzin zostaną przeprowadzone przez bezpiekę rzeszowską aresztowania. [...]

A teraz najbardziej przykra sprawa. Lista została podpisana przez jednego z nowo upieczonych milicjantów, który sam za niemieckiej okupacji należał do AK i wszystkich w terenie znał dokładnie. Co mu strzeliło do głowy, aby się stać komunistą i zaprzedać wszystkich swoich kolegów, nie wiem do dziś. Ten chłopak miał dopiero niecałe 19 lat, był moim rówieśnikiem. Znałem go od małego dziecka. Był jednym z nielicznych dzieciaków wiejskich, którym moi rodzice pozwalali się ze mną bawić. Razem graliśmy w piłkę nożną na okrągłym gazonie w Dylągówce, on w pomocy, a ja na prawym ataku. [...]

I oto teraz stoi przede mną ksiądz Ostrowski i prosi, abym się udał wraz z obecnymi tu partyzantami i strzelił w łeb swojemu byłemu koledze. Próbuję się wymigać, tłumacząc, że ubezpieczam „Nuškę”, która nie ma broni, a idzie z bardzo ważnymi meldunkami do Borku. Nic nie pomaga. Ksiądz Ostrowski, będąc kapelanem wojskowym, jest w stopniu kapitana i teraz po prostu daje nam rozkazy. Bierze całą odpowiedzialność na siebie. Pośle kogoś, aby „Nuškę” odprowadził, a mnie zatrzyma na tę robotę, bo tylko ja i Tadzik Rząsa mamy doświadczenie w tego rodzaju akcjach.

W końcu nie ma rady. „Nuška” wychodzi z chłopcem z miejscowej konspiracji, a ja pochylam się

nad papierami i studiuje plan ataku na hyżneński posterunek.

Sprawa nie jest łatwa. Na robotę pójdzie nas tylko czterech, bo jeden chłopak musi mi oddać swój automat i sam zostałby bez broni. Na posterunku jest siedemnastu milicjantów. Tylko czterech ma być rozstrzelanych: bardzo niebezpieczny porucznik - dowódca załogi, jego zastępca w stopniu sierżanta, mój były kolega Staszek P. oraz jeszcze jeden milicjant-komunista bez rangi. Reszta milicjantów będzie po naszej stronie i po zajęciu posterunku pójdzie z nami do „Draży”. [...]

Po uzgodnieniu najdrobniejszych szczegółów, pożegnaliśmy się z księdzem punktualnie o godzinie jedenastej i wyruszyliśmy. Po piętnastu minutach byliśmy już na miejscu i bez słowa, jak duchy, zajęliśmy stanowiska przy frontowych drzwiach. Choć budynek był dość okazały - składał się z parteru (gdzie nawet znajdowały się cele więzienne) i pierwszego piętra - był zbudowany z drewna, więc zdjęliśmy z nóg buty, żeby nie hałasować na schodach, gdy będziemy się zakradać na piętro. Pierwsze piętnaście minut upłynęło w zupełnej ciszy, tak że wszystko na razie szło według planu.

Wpół do dwunastej ktoś nagle schodzi po schodach. Skrzyp, skrzyp, skrzyp... idzie do drzwi. Przecież nie nasz łącznik „Moris”, bo ten miał zejść

dokładnie o dwunastej! Więc co za diabeł? Tych dwóch miejscowych chłopaków nie czekało dłużej: „*Wsypa, panowie, to porucznik!*”. I prysnęli w ciemną noc. Zostaliśmy sami z Tadzikiem Rząsą. Obydwaj mieliśmy za wiele treningu w partyzantce, ażeby teraz przy pierwszym problemie dać nogę.

Przyczailiśmy się tylko jak dwa tygrysy gotowe do skoku i czekamy, co będzie dalej. Jeszcze parę sekund i główne wrota się otwierają, wychyla się jakaś postać. Łapiemy ją za gardło, wyciągamy przed budynek, przystawiamy automat do głowy i szepczemy do ucha, ażeby się przedstawiła i to szeptem, bo inaczej naszpikujemy ołowiem. „*Panowie, to ja, «Moris».*”

Nareszcie sytuacja się wyjaśniła. Po udaniu się milicjantów na spoczynek, „Moris” nie wytrzymał nerwowo i chciał się upewnić, czy wszystko idzie według planu; przez swoją ciekawość zszedł na dół pół godziny za wcześnie. Zły byłem na niego, bo było to posunięcie nierozważne - kosztowało nas dwóch chłopców, a choć najwidoczniej mało odważnych, to jednak mielibyśmy na robocie, która i tak łatwa nie była, o dwa automaty więcej. Zdecydowałem się jednak przeprowadzić tę akcję, choć wiedziałem, że mam małą szansę na powodzenie. [...]

Byłem zmęczony jak pies po tym półdniowym marszu z Piątkowej do Hyżnego, miałem

przemoczone buty, do tego głodny byłem jak cholera, bo na wikarówce piłem tylko herbatę, wszy jak zwykle jadły na żywca... Tadzik Rzaśa też widocznie nie był w lepszym stanie, bo na moje pytanie: „*No co, idziemy?*”, skinął tylko głową i mruknął pod nosem: „*A co mi za różnica, nie dziś, to jutro...*”. [...]

Ciemno jak w studni, wszystko odbywa się po omacku. Długie schody, wreszcie jesteśmy na piętrze. Odprowadzam Tadzika i „Morisa” na koniec długiego korytarza, gdzie znajduje się zbiorowa sypialnia milicjantów. Pokazuję na palcach, ażeby mi dali minutę na przejście do sypialni porucznika, po czym otwieram prawe drzwi, za którymi według naszego planu powinna się znajdować kuchnia. Jest rzeczywiście. W rogu stoi łóżko, na którym śpi młoda kuchareczka. Na stoliku stoi lampa naftowa. Biorę ją, podkręcam na cały regulator i, minąwszy kuchnię, wkraczam do sypialni porucznika.

Ledwo zdążyłem postawić lampę na stole, porucznik, który spał na łóżku postawionym w rogu, przebudził się (widocznie od mocnego światła) i - zobaczywszy mnie na środku pokoju - próbował złapać za automat, leżący nad jego głową na poduszce. Reakcje świeżo przebudzonego człowieka nie są jednak dość szybkie - jednym zamachem przejechałem go kolbą automatu po głowie, po czym,

wskoczywszy na jego łóżko, zamasyżuje strąciłem go na podłogę.

Runął jak worek kartofli; wyglądał śmiesznie w tej swojej nocnej koszuli z białą czapeczką na głowie. Niezorientowany w sytuacji, z miejsca podniósł niesamowity raban, w nadziei, że obudzi śpiących po drugiej stronie korytarza milicjantów. *„Ratunku, ratunku, czego pan ode mnie chce, jestem niewinny!”* A tu po minucie drzwi się otwierają i pod bronią Tadzika i „Morisa” wkraczają skazani milicjanci. Jest sierżant, jest milicjant bez rangi, którego nazwiska nie pamiętam i, tak - jest też mój kolega z dziecięcych lat, Staszek P. Poznał mnie od razu. Nie przemówił do mnie ani słowa, ale widziałem, że zbłądł jak ściana. [...]

Najcięższą część roboty mamy już za sobą. Duży sukces, zważywszy, że opanowaliśmy cały posterunek w trzy osoby i to bez jednego strzału. Milicji z Rzeszowa nie spodziewamy się wcześniej jak o piątej rano, a o tej godzinie będziemy już daleko. Trzymam wszystkich więźniów pod strzałem, a reszta „naszych” milicjantów wraz z Tadzikiem plądruje cały posterunek, szukając tej nieszczęsnej listy. Znajdują ją wraz z innymi dokumentami w szufladzie biurka porucznika. Książd Ostrowski wiedział, co mówi, rzeczywiście jest pod nią podpis Staszka P., który listę sporządził. Niestety, nie miałem teraz co do jego



winy żadnych wątpliwości.

Wszystkie te papiery, ważne i nieważne, kładziemy na środku podłogi i robimy z nich małe, kontrolowane ognisko. Nie chcemy spalić budynku, bo inne chałupy blisko, więc cała wioska mogłaby pójść z dymem. Po papierach przychodzi kolej na broń, którą nie jesteśmy zachwyceni. Przeważnie staroświeckie karabiny. Automaty tylko dwa, jeden porucznika, a drugi sierżanta. Opróżniamy z naboji stojące w stojakach karabiny i wieszamy je skazanym na szyje. [...]

Teraz sprowadzamy cały ten zespół na parter. Kluczami znalezionymi w biurku porucznika otwieramy cele więzienne i wypuszczamy stamtąd dwóch lokatorów. Poweselały im miny, gdy się dowiedzieli o spalonych papierach. Są starsi od nas, na pewno aresztowani za pijaństwo lub pędzenie samogonu. Po dwóch godzinach plądrowania posterunku wychodzimy z budynku. Kierujemy się w stronę wąwozu przy rzece, bo taką instrukcję dostałem od księdza Ostrowskiego.

Porucznikowi buzia się teraz nie zamyka. Wie dobrze, że koniec już bliski, więc próbuje wszystkimi siłami się ratować. Tłumaczy mi, że nic o żadnej liście i aresztowaniach nie wie (czym się zdradził, bo ja go o żadną listę nie pytałem), że sam należał do AK. Jedynie Staszek P. ani słowa dotąd nie wymówił,

idzie półprzytomny ze strachu. Żał mi się go robi strasznie, przesunąłem się na lewą stronę, tak że pilnowanie Staszka przypadło teraz Tadzikowi. Noc bezksiężycowa, łudzę się nadzieją, że może pryśnie w krzaki, zanim go osiągną kule Tadzika. Ale gdzie tam, idzie spokojnie, jakby go wesołe jutro czekało.

Natomiast sierżant, który teraz szedł z porucznikiem po mojej stronie, zawiadomił mnie niespodziewanie, że musi opróżnić pęcherz. Jak skończony kretyn zatrzymałem całą kolumnę, a gdy jeden z „naszych” milicjantów wszedł pomiędzy nas, sierżant prysnął w krzaki i próbował przedostać się na drugą stronę rowu. Ale te trzy karabiny, które taszczył na szyi, zwolniły go nieco, tak że moje kule z pepeszki dosięgły go, zanim wyskoczył z krzaków. Strzelałem na ślepo, po ciemku i dopiero „Moris” po znalezieniu ciała zameldował mi o rezultacie.

Jeszcze pół kilometra i pozostałą trójkę przyprowadzamy na zaplanowane miejsce. Teraz każemy na skraju pola czekać „Morisowi” z resztą milicjantów, a ja z Tadzikiem bierzemy skazanych na środek pola. Z lewej strony porucznik, w środku Staszek P., a po prawej milicjant. Każemy im stanąć, zdjąć z szyi karabiny i położyć je na śniegu. Usłuchali rozkazu bez sprzeciwu, ale gdy tylko położyli karabiny na ziemi, rzucili się do ucieczki. Porucznik w lewo, milicjant w prawo, a Staszek

prosto przed siebie.

Jedną serią położyłem porucznika, potem obróciłem się w prawą stronę i pomagałem Tadzikowi w położeniu milicjanta, choć on wcale nie był na mojej linii strzału. Liczyłem, że może Staszкови P. uda się wyrwać z tych tarapatów i to bez mojej winy. Ale gdzie tam, zamiast uciekać w lewo razem z porucznikiem, gdzie było pełno krzaków, walił przez środek pola i widoczny był na białym śniegu jak na dłoni. Nie mogłem już dłużej czekać, wyrównałem lufę automatu w kierunku oddalającej się postaci i pociągnąłem za spust. Długa seria i patrzyłem z przerażeniem, jak ciemna sylwetka upada na ziemię.

Podszedłem do leżącego na śniegu Staszka, by sprawdzić, czy jeszcze żyje. Przemówił do mnie po raz pierwszy tego strasznego wieczoru: „*Stefan, dobij mnie...*”.

I wtedy, po raz pierwszy od lat, mnie, twardemu partyzantowi, łzy stanęły w oczach. Obróciłem się w stronę Tadzika stojącego o parę kroków ode mnie: „*Tadzik, pomóż mi...*”. Zrozumiał, podszedł do Staszka bez słowa i gdy już odchodziłem odwrócony do niego plecami, usłyszałem ostatnią krótką salwę.

Gdy wychodziłem z wąwozu, minąłem dwoje ludzi ze wsi, przysłanych z łopatami przez księdza Ostrowskiego; wskazałem im ręką, gdzie leżą ciała.

Po krótkim pożegnaniu z Tadzikiem, który wracał na wikarówkę, wyruszyłem wraz z „Morisem” i resztą milicjantów do Piątkowej i do „Draży”. Przez całą drogę powrotną nie przemówiłem ani słowa. Pierwszy raz zacząłem sobie uświadamiać, że może ta partyzantka to przegrana sprawa, że te poświęcenia i tragedie nie mają wiele sensu.

## NA UKRAIŃCÓW

NIE WIEM, kto kogo nienawidził bardziej: Ukraińcy Polaków czy Polacy Ukraińców. W każdym razie „Draża” ich nie znosił i nienawidziła ich też cała Czternastka. I miała ku temu powody.

Czternastka została sformowana we Lwowie, który choć składał się głównie z ludności polskiej, to jednak otoczony był wioskami ukraińskimi. Gdy uczęszczałem do szkoły Abrahamowiczów we Lwowie w 1939 roku, nie słyszałem wiele o Ukraińcach i ich kwestia była rzadko poruszana. Duże problemy z nimi zaczęły się dopiero po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Powstała wtedy Ukraińska Powstańcza Armia, która - opowiedziawszy się po stronie niemieckiej - z pełnym animuszem zabrała się do likwidacji obywateli polskich. [...]

Napady Ukraińców na wioski polskie były straszne. [...] Rzadko kiedy używali pistoletu lub automatu, większość ofiar padała od ich noży albo strażackich toporków. [...] Kobiety i dzieci były szlachtowane na równi z mężczyznami. Polskie niemowlęta brali za nóżki i rąbali ich małymi główkami o ścianę. [...]

Widocznie w roku 1943 nie było już innej rady, jak tylko porządny odwet ze strony Polski podziemnej.

Czternastka była jednym z pierwszych oddziałów, które ruszyły do akcji przeciwko Ukraińcom. [...] Zaczęto palić wioski ukraińskie, nie szczędząc nikogo. „*Z ogniem poszła Szołomyja...*” - brzmiała piosenka Czternastki. Tak, Szołomyja to jedno z największych zwycięstw. Jeden z głównych sztabów ukraińskich poszedł z dymem. [...]

W okolicach Przemyśla czy Przeworska sytuacja była naprawdę tragiczna. Wiele wiosek w tych stronach składało się z ludności mieszanej. Na przykład górna część wioski składała się z ludności polskiej, a dolna z ukraińskiej. Teraz nie było prawie tygodnia, żeby się nie słyszało o napadzie Ukraińców na Polaków i wymordowaniu ich bezlitośnie, do nogi. Ukraińska Powstańcza Armia istniała tutaj, jak za dawnych dobrych czasów pod Lwowem, z tą tylko różnicą, że obecnie nie miała żadnego poparcia, ani ze strony Niemców, bo ci teraz walczyli o własną skórę pod Berlinem, ani tym bardziej ze strony Sowietów.

Po moim powrocie z Hyżnego dostałem nową kwaterę, tym razem w Laskówce. Na trzy dni przed Bożym Narodzeniem zobaczyłem stamtąd ogromną łunę na niebie. To jedna z polskich wiosek palona była przez Ukraińców. Łunę tę widać było przez całą noc, a gdy doszliśmy tam na drugi dzień, zastaliśmy ludzi układających pomordowanych rodaków w

rzędach na trawnikach. Przygotowywali ich do masowego pochówku. Widok naprawdę straszny, a najgorsze było dla mnie to, że zobaczyłem zamordowane w bestialski sposób małe dzieci.

Mojemu koledze z Czternastki, „Twardemu” [Wilhelmowi Ćwiokowi], który z bratem zamieszkiwał na Pasiekach we Lwowie, Ukraińcy wymordowali całą rodzinę: ojca, matkę i rodzeństwo. Choć on i brat się uratowali, to jednak obydwaj nigdy nie mogli zapomnieć tej tragedii i w końcu brat „Twardego” zastrzelił się na zabawie tanecznej, na oczach swojej dziewczyny i kilku kolegów. Sam „Twardy” też miał skłonności samobójcze i przy wódce trzeba go było pilnować, aby sobie nie palnął w łeb.

Ten właśnie „Twardy”, którego drugie pseudo brzmiało „Wiluśko”, po [...] moim przybyciu do Laskówki został przydzielony przez samego „Drażę”, wraz ze mną, „Słowikiem” i „Luisem”, do specjalnego Oddziału Karnego, powołanego do odwetowej likwidacji Ukraińców. To była nasza regularna paczka na co dzień. Na większe roboty dołączali jeszcze „Szofer” i „Muszka”.

Nasze operacje zbliżone były w swojej jakości do ukraińskich, z tą tylko różnicą, że wybieraliśmy wioski, w których przeważała ludność polska, bo w ten sposób było nam łatwiej wykończyć Ukraińców. Nie było w tych akcjach żadnej litości, żadnego

pardonu. Nie mogłem też narzekać na swoich towarzyszy broni. Szczególnie „Twardy”, który miał osobiste porachunki z Ukraińcami, przechodził sam siebie.

Gdy wchodziliśmy do ukraińskiego domu, nasz „Wiluśko” dostawał dosłownie szału. Zbudowany jak dobrze rozwinięty goryl; gdy tylko zobaczył Ukraińców, oczy wychodziły mu na wierzch, z otwartych ust zaczynała mu kapać ślina i robił wrażenie człowieka, który dostał obłędu.

Ja z „Luisem” przeważnie obstawialiśmy drzwi i okna, natomiast półprzysłomny „Twardy”, stary nożownik z lwowskich Pasiek, rzucał się na skamieniałych ze strachu Ukraińców i krajał ich na kawałki. Z niesłychaną wprawą rozpruwał im brzuchy lub podrzynał gardła, aż krew tryskała po ścianach. Silny niesamowicie, często zamiast noża używał zwykłej łąwy stołowej, którą gruchotał czaszki, jakby to były makówki.

PEWNEGO RAZU zebraliśmy trzy rodziny ukraińskie w jednym domu i „Twardy” postanowił wykończyć je „na wesoło”. Założył sobie znaleziony na półce kapelusz i - wzięwszy leżące na stole skrzypce - zaczął przygrywać na nich Ukraińcom. Podzielił ich na cztery grupy i przy dźwiękach muzyki kazał im śpiewać na głosy: *„Tu pagórek, tam dolina, w dupie będzie Ukraina...”*. I pod groźbą



trzymanego przeze mnie pistoletu śpiewali biedacy, aż szyby w oknach drżały, łudząc się, że nasza brać partyzancka będzie miała więcej sumienia od nich samych. Niestety, była to ich ostatnia piosenka na tym padole. Po skończonym koncercie „Twardy” tak się żywo wziął do pracy, że obaj z „Luisem” uciekliśmy do sieni, ażeby też nas czasem przez pomyłkę nie zarąbał. [...]

W LIKWIDACJACH UKRAIŃCÓW pomagała nam też miejscowa Milicja Obywatelska. Mieliśmy jeden „swój” posterunek, położony w okolicy Dynowa, blisko Sanu, który pomagał nam w ten sposób, że po aresztowaniu Ukraińców podejrzanych o palenie polskich wiosek, po prostu oddawał nam ich na odstrzał. Zamiast odwozić do komendy głównej lub do sądów, dawali nam znać przez łącznika, że taki a taki Ukrainiec czeka na nas na posterunku i jest do odebrania. Wtedy była robota tylko dla mnie i „Twardego”.

Szliśmy po odbiór przeważnie wieczorem i jazda nad rzekę. Tu stawialiśmy gościa na wzniesieniu i dla pewności dziurawiliśmy go kulami z automatów, tak że już martwe ciało staczało się do wody. [...] Z takich ciał powstawały „majestatyczne trupy”, które po tygodniu dopiero wypływały na powierzchnię. Pływały z prądem w dół rzeki, napuchnięte, jakby były w ciąży, sine, pełne dziur. [...]

Gdy to dzisiaj wspominam, czuję w sobie duży niesmak. Wtedy jednak było inaczej - patrząc na te ciała, miałem się za bohatera, który ciężko pracuje dla Ojczyzny i który podziwia tylko owoce swojej pracy. [...] Pozbawiliśmy życia około pięćdziesięciu Ukraińców odebranych z posterunku milicyjnego.

W DYWERSJI działały się czasem rzeczy, które nawet mnie samemu się nie podobały. Zgoda, nieraz podczas wojny trzeba było za jakąś zdradę kobietę pod ścianę postawić i wyrok wykonać. Sam brałem udział w takich likwidacjach i o to nie mam pretensji; wtedy uważałem to za rzecz konieczną, za coś normalnego. Ale „Twardy”, który kochał się w torturowaniu Ukraińców, pod względem kobiet nie robił żadnych wyjątków.

Raz, idąc przez wieś z „Twardym” i „Luisem”, weszliśmy do domu, w którym mieszkały trzy dziewczęta. W czasie nawiązanej konwersacji okazało się, że jedna z tych panienek jest Ukrainką. Ponieważ była bardzo młoda i bardzo ładna, „Twardy” zdecydował, że najlepszą karą za jej ukraińskie pochodzenie będzie, gdy wszyscy trzej dopuścimy się na niej gwałtu.

Byłem tym pomysłem niemile zaskoczony, ale nadrabiałem miną, bo nie ma nic gorszego dla 19-letniego chłopaka, jak przyznać się, że się „dupy boi”. Nikt nie protestował, dziewczyna została zabrana do

osobnej sypialni, w której pierwszy został z nią sam pomysłodawca, kapral „Twardy”. Przyszedł do nas po dziesięciu minutach spocony jak mysz i „Luis” zajął jego miejsce. Wreszcie przyszła moja kolej.

Po wejściu do sypialni, zastałem biedną dziewczynę leżącą zupełnie nago na łóżku i szlochającą histerycznie. Zrobiło mi się głupio, zacząłem jej rzeczywiście żałować i nie wiedziałem, co robić. W końcu usiadłem na skraju łóżka i zacząłem delikatnie głaskać ją po długich, czarnych jak aksamit włosach. Zacząłem ją prosić, aby przestała płakać i nawet próbowałem jej wmówić, że może się jeszcze wszystko dobrze skończy, choć w głębi duszy, znając już dobrze „Twardego”, wiedziałem, jaki ten koniec będzie. Jednak zrobiło mi się bardzo przykro.

Dziewczyna była śliczna i taka młoda jeszcze, w życiu na pewno nikomu krzywdy nie zrobiła i miała takie samo prawo do życia, jak każdy z nas. Jedynie to, że miała pecha urodzić się Ukrainką - przez to jedno los jej był już przypieczętowany.

Ja byłem za bardzo zajęty swoją karierą partyzancką i swoim „patriotyzmem”, aby wtedy wyjść i oświadczyć „Twardemu” prosto w nos, że robimy wielkie świństwo i że tę dziewczynę należy uniewinnić. Posiadałem ten sam stopień wojskowy co „Twardy”, więc o dawaniu jakichkolwiek rozkazów

mowy nie było. Tylko że mój sposób myślenia wtedy był tak wypaczony... Uważałem, że pierwszy stopień do bohaterstwa to być twardym, tak jak „Twardy”. Trzymając się tej zasady, nie myślałem wcale o poważniejszym ratowaniu dziewczyny.

Nie zgwałciłem jej jako trzeci, to prawda, ale głównie dlatego, że gwałt nie działał na mnie podniecająco, a histeryczny płacz dziewczyny wprowadzał mnie raczej w nastrój depresyjny. Poburzywszy sobie odpowiednio włosy, zziąjany jak nieszczęście, ocierając z potu suche czoło, wkroczyłem z powrotem do mieszkania, gdzie koledzy tymczasem zabawiali się rozmową z dwiema Polkami.

Oświadczyłem, że jestem już „załatwiony” i że oddaję dziewczynę do dyspozycji „Twardego”, z lekką jednak sugestią, ażeby jej życie darować. „Twardy”, choć popatrzył na mnie jak na wariata, zgodził się na to niespodziewanie łatwo, zaznaczając jednak: „Ty, «Żbik», *to masz zawsze idiotyczne pomysły*”.

Jednak na samym gwałcie się nie skończyło i choć „Twardy” rzeczywiście darował jej życie, to przedtem przyciągnął ją nagą do kuchni i rozgrzawszy do czerwoności pogrzebacz, na goły tyłeczek takie jej smary sprawił, że aż czerwone pręgi zaczęły się pokazywać. I w takim stanie,

zupełnie naga, wyrzucił biedną dziewczynę na dwór. Ratując ostatkiem sił swoje życie, w śniegu po kolana, w trzaskający mróz pobiegła do sąsiadów.

PO TYM WYPADKU z dziewczyną doszedłem do przekonania, że „Twardy” ma wyjątkowo dobry „węch” do Ukraińców. Przecież tę dziewczynę rozpoznał od razu, chociaż mieszkała z dwiema Polkami. Upewnił mnie co do jego talentu jeszcze inny wypadek, dwa dni później.

Gdy wracaliśmy pod wieczór na swoje kwatery w Laskówce, zaczepił obcego, spokojnie idącego gościa i zapytał go, czy przypadkiem nie jest Ukraińcem. Tamten, choć załatywał trochę jakimś dziwnym akcentem, z całą werwą oświadczył: *„Ja, panowie, jestem grekokatolikiem, ja nie Ukrainiec!”*. „Twardy” jednak, nie dawszy za wygraną, poprosił mnie, ażebym pottrzymał gościa pod pistoletem, a sam zdjawszy pasek od spodni, zaczął walić go niemiłosiernie po twarzy.

Z początku biedak zaczął nawet protestować i krzyczeć, że co to za porządki, że my go atakujemy, kiedy on nie jest żaden Ukrainiec, tylko grekokatolik. Ale „Twardy” walił go coraz mocniej i coraz bardziej zapamiętałe. W końcu widocznie ból był nie do zniesienia, bo nagle gość - podskakując na jednej nodze, jak raniony zając - zgodził się z nami we wszystkim: *„Tak, Ukrainiec jestem, skurwysyn*

*jestem...*". W tym momencie przesłuchanie zostało zakończone, a wyrok wykonany przez „Twardego”, który zręcznym ruchem poderżnął skazanemu gardło.

JEDNAK TE RÓŻNE nasze „bohaterskie” wyczyny zostały zauważone w mniejszych skupiskach ukraińskich i, obawiając się coraz większych represji z naszej strony, Ukraińcy przyciszyli się nieco. Przez pierwsze dwa tygodnie stycznia 1945 żadna z wiosek polskich nie została zaatakowana. To był pewnego rodzaju postęp. Nasze wyczyny jednak nie przypadły Ukraińcom do gustu, w niektórych mieszanych wioskach zaczęli nawet wystawiać specjalne posterunki alarmowe, których celem było sprawdzanie dowodów osobistych poszczególnych polskich przechodniów.

Przeważnie takie jednoosobowe posterunki znajdowały się przy głównych szosach, w pobliżu małej chałupki, która z kolei została przemieniona na wartownię. Ponieważ te ich posterunki były dla mnie rzeczą nową, nic więc dziwnego, że mojej pierwszej z nimi konfrontacji o mało nie przepląciłem życiem.

Zacząło się od tego, że wraz ze „Słowikiem” zostałem zaproszony na wesele do Gulcowej. Sama zabawa zapowiadała się fantastycznie. Zostawiłem swoją ciężką parabelkę na kwaterze, a wypożyczyłem sobie od plutonowego „Józefa” małą szósteczkę, którą łatwo się w kieszeni nosiło, a która

pozwalala na większą swobodę ruchów. Nie wierzyłem zbyt w siłę ogniową tego małego pistoletu, ale nie przewidując żadnego starcia zbrojnego, uważałem, że nie ma sensu się niepotrzebnie obciążać.

Siedząc wraz ze „Słowikiem” na honorowym miejscu, wlewaliśmy w siebie samogon pełnymi szklankami. Śpiewałem wesoło na całe gardło: *„Kurwa ci mać Kaśka, to ci powiem w oczy, bom cię wypróbował do miesiąca w nocy...”*. Podnosiłem się też z ławy od czasu do czasu, ażeby sobie poleczkę z dziewczyną wiejską wywinać. „Słowik” zajęty był tak butelkami, że o tańcach nawet nie myślał.

Około trzeciej nad ranem zabawa dobiegała końca i przyszedł czas na nasz powrót na kwatery. Łatwe to nie było, zważywszy, że przyjechaliśmy tutaj na wypożyczonych w Laskówce rowerach. Z wielką trudnością dosiedliśmy wreszcie po kilku usiłowaniach tych rowerów i - jadąc „od rowu do rowu” - ruszyliśmy przed siebie.

Nucąc sobie wesoło pod nosem, dotarliśmy prawie aż do samego Jawornika, gdy tu nagle na pustej szosie wyrasta nagle jak spod ziemi jakaś postać z długim karabinem i, zatrzymując mój wolno jadący rower, krzyczy: *„Stój! Kto jedzie?! Papiery!”*. Po akcencie poznałem Ukraińca. „Słowik”, choć nie

wiedział, o co chodzi, też na szczęście się zatrzymał i na razie zachowywał spokojnie. Ukraińiec był teraz panem sytuacji, trzymał mnie pod karabinem wymierzonym prosto w moją pierś.

Zacząłem prowadzić z nim pertraktacje, tłumacząc, że zapomniałem zabrać ze sobą papierów, że mieszkam w sąsiedniej wiosce, wracam z wesela w domowe pielesze... Ukraińiec słuchał moich wywodów spokojnie, nie spuszczał mnie jednak z lufy swojego karabinu. I nie wiem, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie „Słowik”, który niespodziewanie wmieszał się do rozmowy: „*Co się tam dzieje do cholery i po kiego chuja tu stoimy?*”. „*A to kto?*” - zaniepokoił się Ukraińiec i odruchowo przesunął lufę karabinu ze mnie na „Słowika”. Na ten moment czekałem. Błyskawicznym ruchem złapałem za lufę karabinu i pociągnąłem ją w stronę ziemi. Ukraińiec, który widocznie cały czas trzymał palec na spuście, pociągnął za niego w tym momencie. Huk wystrzału, brzęk roweru i „Słowik” leci na ziemię. „*Zabił mi chłopaka*” - myśle.

Wściekły, wytrzeźwiawszy już zupełnie, wrywam swoją szóstkę z kieszeni i jedną ręką dalej trzymając za karabin, drugą po ciemku walę w stronę Ukraińca. Buch, buch, buch - walę w Ukraińca z mojej szósteczki, a on nic, tylko dalej stoi dzielnie na nogach.



Wystrzeliłem już chyba jakieś pięć razy, aż tu mój Ukrainiec płaczącym głosem się odzywa: „*Pany, już dosyć...*”. Zrozumiałem od razu, że niedobrze, że jak tak dalej będę pudłował, to skończą mi się naboje, bo już mi chyba tylko dwa zostały. Namacałem tą maleńką lufą szczęśliwie jego głowę i wypaliłem po raz szósty. Tym razem mój Ukrainiec z miejsca się uspokoił i runął na szosę. Wszystko to odbyło się chyba w ciągu minuty.

Lecę teraz do „Słowika” i o dziwo... nie tylko że żyje, ale nawet nie jest zadraśnięty. Gdy ten Ukrainiec wypalił, to choć go żadna kula nie trafiła, zalany „Słowik” wywrócił się wraz z rowerem na szosę. Teraz, dalej nic nie rozumiejąc, wypytuje się cały czas, co to za strzelanina tak niedaleko. Co ja się namęczyłem teraz, by go z powrotem na ten rower zapakować i w dalszą drogę ruszyć. Ledwośmy dojechali do pierwszego zakrętu, jak dobiegły moich uszu głośnie męskie krzyki. Nietrudno było mi się domyślić, że wartownicy z wartowni natknęli się na ciało swojego kolegi.

## FIOŁKOWIE

RODZINA Fiołków mieszkała w Wesolej. Wioska to była duża, licząca ponad 900 numerów. Dzieliła się ona na dwie zasadnicze części: górną i dolną. Jak każda wioska tych rozmiarów, posiadała i wójta, i sołtysa, i cały swój zarząd. Ten zarząd nie lubił Fiołków. I miał ku temu powody. Fiołkowie nie uprawiali pola, nie chodzili do kościoła, nie interesowali się żadną wewnętrzną polityką wioski, nie uczęszczali na zebrania i wiece, nie pracowali też fizycznie na kawałek chleba. Po prostu żyli z kradzieży i rabunków obywateli polskich. Nie robiło im różnicy, czy to kościół, czy plebania, czy też zagroda bogatszego chłopca.

Nie mogli się z nimi uporać Niemcy, trudno jakoś było i naszej milicji dać sobie z nimi radę. A to nie było świadków, a to w sądzie nie było dowodów, zawsze kazano ich na świeże powietrze wypuścić. Dużo ich rabunków szło na konto AK, co nas specjalnie bolało, bo choć u nas zabierało się wszystko od osób skazanych na likwidację, to jednak niewinnych polskich obywateli, no i naturalnie kościołów, nie ruszało się nigdy.

Doszło wreszcie do tego, że miejscowa milicja z Wesolej porozumiała się z dowództwem naszej Czternastki co do ich likwidacji. „Draża” zgodził się łatwo, bo miał zawsze na względzie nasze dobre

imię.

Nie przeczuwając żadnych większych trudności, wyznaczył na tę robotę: mnie, „Słowika” i mniej doświadczonego w likwidacjach „Ciuchraja”. Po otrzymaniu rozkazu zgłosiliśmy się wszyscy trzej do sołtysa w Wesolej, prosząc o trzy różne kwatery w dolnej części wioski. Daliśmy sobie dzień odpoczynku, po czym zabraliśmy się do tropienia Fiołków.

Wiedzieliśmy na razie, że rodzina ta liczy pięciu mężczyzn, którzy są czynnymi członkami bandy i których mamy rozkaz zlikwidować. Trzech z nich to bracia - wszyscy rudzi. Ojciec, starszy już wiekiem, siwy jak gołąbek. A jeden kuzyn, co ma na nazwisko Dobosz, jest szatynem.

Cały dzień spędzam teraz w górnej Wesolej, wypytując o szczegóły różnych gospodarzy. Stopniowo dowiaduję się, gdzie mieszkają, gdzie nocują lub gdzie zbierają się wieczorami. Jednak ta szajka okazała się lepiej zorganizowana niż nam się z początku zdawało.

Na drugi dzień, gdy późno w nocy pożegnałem się ze „Słowikiem” i wyruszyłem na swoją kwaterę, był siarczysty mróz i śnieg leżał do kolan. Noc była jasna, pełnia księżyca, i gdy poszedłem pod chałupę, w której kwaterowałem, zauważyłem wyraźnie na

śniegu cień jakiegoś osobnika, schowanego za węglem domu. Stałem jak wryty, po czym instynktownie rzuciłem się w krzaki do ucieczki.

Zrobiłem zaledwie parę kroków, gdy długa seria z automatu przerwała ciszę nocną. Dopadłem do wozu dwoma skokami i stoczyłem się jak kula do dolnego strumyka. Seria za serią waliły w moją stronę, tylko ogromne szczęście i intuicja wybawiły mnie od pewnej śmierci.

Po drugiej stronie strumyka była kwatera „Słowika” i „Ciuchraja”. Obydwaj chłopcy czekali na mnie teraz z gotowymi do strzału automatami. Pobiegliśmy z powrotem na miejsce, skąd padały strzały, ale nie znaleźliśmy tam już nic poza śladami na śniegu. Od tej jednak chwili przestaliśmy sobie Fiołków lekceważyć, na razie wiedzieli o nas więcej niż my o nich.

Minęły dwa dni i „Draża” z „Belabesem” odwiedzili nas w Wesolej. Przechodzili przez nasz teren i chcieli się zorientować, jak sobie radzimy z Fiołkami. „Draża” nie mógł zrozumieć, dlaczego nie robimy żadnych postępów. Oświadczył mi, że ma dla mnie w planie jeszcze kilka nowych pilnych robót. Podziękowałem mu za pamięć, obiecałem postarać się zakończyć całą tę sprawę jak najprędzej.

Tymczasem zapadł wieczór, a ponieważ nasze

zebranie przeciągnęło się do późnej nocy, „Draża” i „Belabes” zdecydowali się na nocleg w Wesolej. Ta wioska była ciągle zagrożona Fiołkami i skoro teraz takie dwie grube ryby miały tu nocować, było rzeczą zrozumiałą, że postanowiliśmy urządzić im ubezpieczenie pierwszego stopnia. Kwatera „Słowika” była założona tuż obok kwatery „Draży” i „Belabesa”, więc postanowiliśmy ją zamienić na jedną noc na wartownię.

Wyzaczyłem na pierwszy nocny patrol „Słowika” i „Ciuchraja”, z tym że co cztery godziny jeden z nas będzie zmieniony. Ponieważ mój wypoczynek wypadał zaraz na początku, próbowałem się położyć przynajmniej na chwilę. Zdjąłem jednego buta i już zabierałem się za drugiego, gdy tu ni stąd, ni zowąd słyszę długą serię z automatu z bardzo bliskiej odległości. Moje wytrenowane ucho natychmiast rozpoznało rodzaj broni. Wolny ogień... - angielski sten. Jeszcze sekunda i dwie szybkie serie, tym razem z rosyjskiej pepeszki.

Jak szalony wciągnąłem z powrotem tego zdjętego już buta i wybiegłem jak z procy z parabelką w rękę w kierunku strzałów. Minałem chyba ze cztery chałupy wiejskie, gdy zobaczyłem czyjaś postać przyczajoną za stodołą. Padłem na ziemię koło drzewa w sadzie i zaczynam czołgać się na brzuchu. *„Wychodź z rękami do góry, bo sito z ciebie*

zrobię...” - krzyczę, bojąc się wysunąć teraz na otwarte pole.

„Stefek, to ja, «Słowik», nie strzelaj!” Poznawszy go po głosie, podchodzę teraz do niego i już razem idziemy szukać tej sylwetki, która według „Słowika” otworzyła pierwsza ogień. I... już po paru krokach znajdujemy „Ciuchraja” ciężko rannego, leżącego na ziemi. W tej chwili dołącza się do nas z rewolwerem w ręku zaniepokojony strzałami „Belabes”.

Próbujemy powiązać wszystko do kupy - co się właściwie stało. Według wersji „Słowika”, zobaczyli jakąś sylwetkę między chałupami i, gdy chcieli tego gościa wylegitymować, on zaczął im uciekać. Pobiegli wtedy w dwie różne strony i jakimś cudem wpadli potem na siebie. „Ciuchraj”, według „Słowika”, otworzył pierwszy do niego ogień, myśląc widocznie, że strzela do tego uciekającego gościa. I to się zgadza - pierwsze strzały padły na pewno z angielskiego stena, który był w posiadaniu „Ciuchraja”. Natomiast „Słowik” otworzył ogień - też nie wiedząc, do kogo strzela - w swojej obronie. Tak czy inaczej, „Ciuchraj” leżał teraz na ziemi pod moimi stopami i wiedziałem, że umiera.

Postrzelony jednym tylko pociskiem, ale przez żołądek, bez natychmiastowego przewiezienia do szpitala, nie miał żadnej szansy. Pamiętam jego słowa, które wypowiedział po tych niefortunnych

strzałach: „*Žbik, jak to boli...*”. Potem stracił przytomność.

Umarł godzinę później na naszej kwaterze, do której przenieśliśmy go po wypadku. Ponieważ chodziliśmy prawie w łachmanach, a „Ciuchraj” miał na sobie nie najgorszy jeszcze polski mundur, rozebraliśmy go delikatnie i zaczęliśmy przygotowywać go do natychmiastowego pogrzebu.

Nie poszło nam gładko, bo na dworze panował trzaskający mróz już od dobrych paru dni i ziemia wszędzie była na kamień zamarznięta. A kilofa nie mogliśmy w żaden sposób skombinować. Zapakowaliśmy biednego „Ciuchraja” na małe dziecinne saneczki i jazda na położony niedaleko cmentarz, chcieliśmy tam zostawić go przy cmentarnej kapliczce. Dobiliśmy szczęśliwie na miejsce około drugiej w nocy i, o dziwo, znaleźliśmy świeżo wykopany grób, widocznie przygotowany na pogrzeb dla kogoś innego. Bez większego namysłu spuściliśmy naszego nieboszczyka do tego głębokiego grobu i zdjawszy czapki, choć mróz cholerny, odmówiliśmy krótką modlitwę.

Moje myśli poleciały teraz na chwilę do dalekiego Lwowa, gdzie przed wojną chodziłem do szkoły i gdzie w chwilach wolnych od nauk wymykałem się do kina „Uciecha” w pasażu Mikolascha. Często po wyjściu z kina wraz z kumplami śpiewaliśmy

piosenkę: „*Sensacja, dziś kino gra... I pchają się wariaty, by widzieć te dramaty...*”. Ojciec „Ciuchraja” był właścicielem tego kina. Nigdy się pewnie nie dowiedział, jak bezsensownie i niepotrzebnie jego syn życie zakończył. Zaraz po modlitwie, jak duchy, wysliznęliśmy się z pustego cmentarza i wróciliśmy na wartę pod kwaterę „Draży”.

Choć „Draża” z „Belabesem” opuścili Wesolą na drugi dzień, zdążyłem jednak w związku ze śmiercią „Ciuchraja” poprosić go przed odejściem o pomoc w likwidacji Fiołków. Dotrzymał danego mi słowa, bo już dwa dni później zjawił się u nas sam kolega „Twardy” w towarzystwie plutonowego „Józefa”, który doniósł o nowych dyrektywach dotyczących tej likwidacji.

Otóż dostaliśmy niespodziewaną pomoc w postaci posterunku milicyjnego w Wesolej, którego obsada, mając już dość tej całej sytuacji, zdecydowała się oddać nam Fiołków „na odstrzał”. Jeszcze dziś cała rodzina Fiołków będzie zabrana przez milicję na konfrontację z rodziną, która nigdy nie była przez nich atakowana - w celu rozpoznania. Fiołki, nie poczuwając się do winy, pójdą z milicją bez oporu, a gdy będą wracać z konfrontacji, my ich elegancko przejdziemy.

Pod wieczór jesteśmy wszyscy gotowi i wyruszamy na wyznaczone stanowisko, które znajdowało się o jeden tylko dom bliżej od chałupki



wyznaczonej przez milicję na konfrontację. Doszliśmy na miejsce, gdy tylko się ściemniło, i czekamy w sieni na naszych bandytów. Rzeczywiście, około dziewiętej cała banda, w towarzystwie pięciu milicjantów, maszeruje tuż przed chałupą, którą zajęliśmy i kieruje się w stronę najbliższego domu. Zabawiwszy tam jakieś piętnaście minut, wychodzą i o dziwo - zamiast wracać tą wydeptaną w śniegu ścieżką, którą przyszli - walą przez pola, przez największe zasy.

Jedynie ich kuzyn Dobosz, widocznie mniej ostrożny albo bardziej bohaterski, zdecydował się wracać przepisowo. Jak tylko podszedł pod sień, wpadł w nasze objęcia. Tu „Twardy” wziął się do roboty, bo trzeba się było spieszyć i nie można było strzałami przestraszyć reszty Fiołków. Udało się nam Dobosza wciągnąć do środka, ale choć „Twardy” miał nóż w ręce, Dobosz za nic nie chciał się dać zarżnąć na spokojnie.

Zaczął się rzucać jak młody żrebak, ugryzł mnie nawet w rękę, gdy próbowałem mu buzię przytrzymać. Na dodatek zaczął się drzeć na całe gardło: *„La Boga, ratunku, mordują mie tu na żywca, ratunku, ratunku!!!”*. „Twardy” nie dawał za wygraną i - waląc nożem bez ustanku - nareszcie uciszył go na zawsze. Jednak szkoda została wyrządzona. Fiołki, nie mając żadnej broni przy sobie, z miejsca zrozumieli, co się dzieje. Nie myśląc

wcale o ratowaniu Dobosza, zajęli się teraz ratowaniem własnej skóry.

Po zasztyletowaniu Dobosza rzuciliśmy się jak głodne wilki w pogoń za pozostałymi. Dogonić ich teraz nie było łatwo. Śnieg sięgał w niektórych miejscach aż do pasa, co szalenie utrudniało gonitwę. Choć widzieliśmy ich sylwetki wyraźnie na białym śniegu, na celny strzał z automatu, do którego używało się pistoletowej amunicji, było za daleko.

Na dobitkę zauważyliśmy, że odległość między nami się nie zmniejsza nawet o krok. Co parę metrów natrafialiśmy na kawałki garderoby Fiołków - to kurtka zimowa, to czapka, to sweterek. Naturalnie, bez obciążenia łatwiej im było uciekać, ale ja przecież swojej kurtki zimowej z pleców nie ściągnę, bo w czym pójdę na drugi dzień.

Najpierw goniliśmy ich pod górę, a potem z góry na dół. W końcu, widząc, że już niedaleko zaczynają się wiejskie chałupy, wśród których Fiołki zgubią się nam kompletnie, z desperacji otworzyliśmy ogień w pełnym biegu. Któryś z nas trafił. Dopadliśmy jednego Fiołka, który leżał już na śniegu bez ruchu. Plutonowy „Józef”, widocznie dla pewności, walnął jeszcze w niego serię z niemieckiego empaka, ale już bez żadnej reakcji leżącego.

To był ojciec tej całej rodziniki, bo można go było

zaraz poznać po srebrnych włosach. Prawdopodobnie nie wytrzymał tej całej gonitwy i wykitował po prostu na zawał serca. Reszta Fiołków, dopadłszy pierwszych domów wioski, zginęła nam z oczu kompletnie. Żli i rozczarowani wróciliśmy do Wesolej, nie mogąc sobie darować, że zaprzepaściliśmy tak wspaniałą okazję.

Na drugi dzień plutonowy „Józef” wraz z „Twardym” opuścili nas zaraz z rana, bo „Twardy” miał wyznaczoną jakąś ważną robotę we wsi polsko-ukraińskiej. Zostałem sam ze „Słowikiem”. Ja byłem specjalnie zainteresowany pewną zabawą, która - jak się dowiedziałem - miała się odbyć w piątek, to znaczy tego akurat wieczoru.

Wiedziony więcej intuicją niż rozsądkiem, wśliznąłem się już dobrze po północy do sadu, a potem pod okna tej zagrody, z której z daleka już było słychać przygrywające rzewnie skrzypeczki. I nagle - oczom własnym nie mogłem uwierzyć: na ławce, pod samym oknem, przez które zaglądałem, siedział spokojnie, nic nie przeczuwając, jeden z braci Fiołków. Rudy kompletnie, nie mogło tu być pomyłki.

Dziwiło mnie tylko, że zaraz po stracie ojca wybrał się na zabawę. Widocznie nie był bardzo religijny albo specjalnie ojca nie kochał. W każdym bądź razie takiej okazji nie mogłem przepuścić. Wyciągnąwszy parabelkę i przerzuciwszy bezpiecznik, przystawiłem

lufę prawie do samej szyby i pociągnąłem za spust. Nie martwiąc się już o rezultat, którego byłem teraz pewien, jednym susem zeskoczyłem z parapetu okna i zniknąłem jak kamfora w cieniu nocy.

Zostało nam teraz tylko dwóch Fiołków z całej szajki. Jedno muszę przyznać naszej dywersji AK, że jak ktoś został przez nas skazany na karę śmierci, to prawie nigdy z życiem nie uchodził. Na razie jednak ani ja, ani „Słowik” nie wiedzieliśmy, jak się do tych dwóch pozostałych Fiołków zabrać.

Na różnych kombinacjach minął jeszcze jeden dzień, ale bez żadnych rezultatów. Z wyraźną pomocą przyszedł nam „Muszka”, który został przysłany przez „Belabesa” i który przyniósł świeże informacje z milicji o czasie i miejscu pogrzebu braciszka Fiołków.

Ta informacja nam wystarczyła. Z bezpiecznej odległości obserwowaliśmy teraz pogrzeb, a co najważniejsze - patrząc na orszak, wytropiliśmy w końcu dom, w którym te nasze Fiołeczki obecnie zamieszkiwały. Wczesnym wieczorem wszyscy trzej, to znaczy ja, „Słowik” i przysłany do nas „Muszka”, zajmujemy - ku przerażeniu gospodarzy - sąsiednią zagrodę i czekamy na Fiołków.

Mamy ich dom pod nieustanną obserwacją, licząc, że wcześniej czy później niespodziewający się

niczego bracia wyjdą na zewnątrz i dadzą się łatwo odstrzelić.

Była zaledwie dziewiąta, gdy zobaczyliśmy na skraju ścieżki idącą w stronę obstawionego domu postać. „Słowik” pilnował gospodarzy, a ja z „Muszką” wyszedłem przed chatę, mając zamiar wylegitymować nieznajomego.

Zrobiłem może dwa kroki, a tu buch, buch - postać wali do mnie z pistoletu. Padły chyba trzy szybkie, na szczęście niecelne strzały w naszą stronę, na więcej nie miał czasu. Długa seria z mojej pepeszki i leci na ziemię.

Podbiegamy ostrożnie bliżej, pełno krwi już wszędzie. Sprawdzamy tylko: włosy rude, jak cholera! Fiolek numer cztery: rano na pogrzebie brata, wieczorem nieboszczyk.

Został nam jeszcze jeden. Nietrudno było się domyślić, że siedzi w tym sąsiednim domu i, choć uzbrojony po zęby, wie już teraz, że żartów z nami nie ma i na pewno medytuje, jak prysnąć. My zaś w zajmowanej chałupie naradzamy się nad sposobem działania.

Ponieważ noc była księżycowa i świeży śnieg leżał na ziemi, sąsiedni dom było widać jak na dłoni. O ucieczce naszego Fiolecza nie było nawet mowy, lecz z akcją zaczepną zdecydowaliśmy się zaczekać

do rana, bo szturmowanie broniącego się domu jest w dzień znacznie łatwiejsze.

Nareszcie noc zaczęła rzednąć i ze świtem pokazały się pierwsze dymy z kominów; ponieważ była niedziela rano, miejscowa ludność przygotowywała się do wyjścia do kościoła. [...] Nasza trójka uderzyła do ataku. „Słowik” pod tylne drzwi, „Muszka” pod pierwsze okno od frontu, a ja pod drugie. Na moje kiwnięcie głową bez słowa otwieramy ogień z broni maszynowej, waląc pełnymi seriami w sam środek zamieszkaných izb, nie martwiąc się o żadne konsekwencje.

Opróżniłem już cały magazynek z mojej pepeszki, gdy tu nagle środkowymi drzwiami wylatuje do nas liczący nie więcej jak jakieś jedenaście lat chłopak, błądy jak ściana ze strachu, i zaczyna krzyczeć przerażonym głosem: *„Panowie, przestańcie strzelać, w środku już nikt nie żyje!”*.

Łapiemy go pod pachy i, popychając jako żywą tarczę, ładujemy się do środka. Zaraz w pierwszej izbie, która służyła za kuchnię, ujrzeliśmy straszny widok.

Na samym środku leżał ojciec chłopaka z prawie zupełnie odstrzeloną głową. Niedaleko od niego śliczna, może 10-letnia dziewczynka leżała nieżywa w białej sukience z jednym tylko białym bucikiem na

nodze - drugi leżał niedaleko, nie zdążyła go jeszcze założyć, gdy dosięgły ją pociski „Muszki”.

W drugim pokoju, który znajdował się pod moim ostrzałem, sytuacja nie wyglądała wiele lepiej. Fiołek leżał przestrzelony jak sito pod samym oknem z nabitym pistoletem w rękę. Pod łóżkiem znaleźliśmy ciężko ranną żonę gospodarza z odstrzelonym prawie całym bokiem. Widocznie przy pierwszych strzałach wskoczyła pod łóżko, próbując ratować życie, ale i tam dosięgły ją moje pociski. Umarła z upływu krwi w ciągu piętnastu minut.

Spędzamy w chałupie jakieś pół godziny, chłopak ciągle szlocha histerycznie. Nacieramy mu skronie zimną wodą, wiedząc, że jest w szoku i bojąc się, aby zupełnie zmysłów nie stracił. Przed wyjściem odsyłamy go do sąsiedniego domu z nadzieją, że ktoś tam się nim zajmie.

Obserwując jego odejście, nietrudno nam było zauważyć przyklejone do szyb twarze przestraszonych mieszkańców wioski. Miejscowa ludność jak zawsze była na łasce ludzi, którzy uczestniczyli w wojnie. Nigdy nie wiedzieli, co im przyszłość przyniesie, czy jutro nie zostaną wymordowani przez czyjąś pomyłkę.

Nareszcie wychodzimy. Opuszczamy Wesolą i kierujemy się w stronę poprzednich kwater. Rozkazy

AK zostały wykonane. Rodzina Fiołków przestała istnieć. Przeprowadziliśmy tę likwidację w imię Ojczyzny...

Może piszę te wspomnienia zbyt cynicznie, ale - proszę mi wierzyć - czułem się wtedy fatalnie, a nawet dzisiaj mam jeszcze niesmak w ustach.



## WYJŚCIE

TO, ŻE WYEMIGROWAŁEM w końcu do bogatej Ameryki, zawdzięczać niejakiemu panu [Leonowi] Dobruckiemu. Kto to był pan Dobrucki? Wysoka figura w tamtym czasie. Znali go wszyscy, zwłaszcza w województwie rzeszowskim i powiecie brzozowskim. Młody, ambitny, wysokiej rangi komunista, najgrubsza ryba po staroście. [...] Ciągłe pokrzykiwał, że Lwów nigdy nie należał do Polski, że z winy polskiej szlachty ciągle się krew lała o ten gród niepotrzebnie! Potem zabrał się do parcelowania folwarków i aresztowań za najmniejsze nawet wykroczenia wobec nowych praw komunistycznych.

I tak wojował i wojował, aż w końcu dochrapał się kary śmierci. Likwidacja nie wyglądała na łatwą, trzeba go było załatwić w biały dzień i to w mieście powiatowym. „Draża” widocznie był w dobrym humorze, gdy podpisywał wyrok na Dobruckiego, bo za jednym zamachem dołożył nam na listę i starostę Brzozowa [Mamborta Orlickiego]. [...]

„Draża” sam wyznaczył trójkę likwidacyjną. Oprócz mnie idzie sierżant „Szofer” oraz „Słowik”. Jak zawsze w takich ważnych robotach, zostałem o zadaniu poinformowany wieczorem, przed samym wymarszem. Pech chciał, że - nie przeczuwając niczego - pożyczyłem moje cudowne P-38 komuś

innemu na inną robotę i w rezultacie zostałem bez pistoletu. Cudem udało mi się w końcu wypożyczyć amerykański rewolwer smith, sześciopalcowy i trochę niecelny, ale w każdym razie lepszy niż proca.

Wyjście wczesnym rankiem [...] 5 marca 1945. Przemarsz był męczący, leżało jeszcze dużo śniegu. Jesteśmy w mieście około dziewiątej rano. Odszukujemy piwiarnię, w której czeka już na nas miejscowy łącznik. Piwiarnia znajduje się naprzeciwko budynku starostwa, gdzie odbywa się ważne komunistyczne zebranie z udziałem starosty i Dobruckiego. Na razie nie zostaje nam nic innego, jak czekać, aż się to zebranie skończy. [...] Skończyło się około jedenastej, w tym czasie byłem już po czterech kuflach piwa.

Przez główne drzwi budynku starostwa zaczęło się teraz wysypywać mnóstwo ludzi. Wreszcie na głównych schodach ukazała się wysoka postać w sowieckiej czapce. Nasz łącznik, który do tej pory bez słowa obserwował przez okno budynek, szepnął do nas: *„To jest Dobrucki, a ten z prawej to starosta... Powodzenia!”*. Po tych słowach zniknął.

[...] Jesteśmy teraz na ulicy i trzymamy ich na oku. Są otoczeni dużą grupą milicjantów z przewieszonymi automatami. Na razie trzymamy bezpieczny dystans, czekając na jakąś lepszą okazję.

[...]

Idą bardzo wolno, widocznie dyskutują między sobą dopiero co odbyte zebranie. Stajemy przed wystawami, próbując jak najmniej zwracać na siebie uwagę. [...] Po drodze nasi panowie zdecydowali się wstąpić na posterunek milicji; tam zabawili chyba jakieś cztery godziny, a my - jak kupa głupków - przez cały ten czas szwendaliśmy się po przeciwnej stronie ulicy. [...]

Około piątej cała ta brać zatrzymuje się w stołówce partyjnej na kolację. Zmierzch zaczął się już na dobre. Stołówka położona jest naprzeciwko parku, więc cała nasza trójka na razie się tutaj melinuje. Obserwujemy naszych panów przez duże okno, jak zażerają smażone kotlety; a ja tu głodny jak cholera, od wczoraj nic poza zimnym piwem w ustach nie miałem.

Oni się nie spieszą z wyjściem, a mnie skurcze w żołądku złapały i z boleści ledwie się na nogach trzymam. Wreszcie przyszło to, czego się najbardziej obawiałem... rozwolnienie. Co parę minut latam za najbliższy krzaczek i za każdym razem zdaje mi się, że żołądek zgubię. Za parę minut przyjdzie mi strzelać do ludzi, a tu jedną ręką muszę trzymać swoje spodnie. „Słowik” i „Szofer” też robią się nerwowi, bo liczyli na moją poważną siłę ogniową, a ja tu tylko hałasy po krzakach wyprawiam.

Jest już chyba godzina siódma wieczorem, gdy starosta i Dobrucki decydują się na wyjście ze stołówki. Przez okno widzimy, jak płacą rachunek i wychodzą... i o dziwo, tym razem są sami! Nie przeczuwając na razie niczego, zaraz po wyjściu kierują się w boczną ulicę. [...] Nasza trójka rusza w ślad za nimi. Wyciągamy broń, „Szofer” polskiego visa, „Słowik” pistolet automatyczny zdobyty na zabitym Fiołku, a ja swojego wypożyczonego bębenkowca. Jesteśmy jakieś 15 metrów za nimi, przyspieszamy więc kroku, bo na strzał z krótkiej broni po ciemku trochę za daleko.

Gdy odległość pomiędzy nami zmniejszyła się do 10 kroków, Dobrucki, który widocznie usłyszał, że ktoś drecze za nimi, nie wytrzymał nerwowo i, szturchnąwszy swojego kolegę pod żebra, odrzuciwszy poły płaszcz, wyciągnął nowiutkie rosyjskie TT i krzyknął: „*Stój, co jest?!'*”. Ponieważ w tym samym momencie pan starosta sięgnął do kieszeni, nie było już na co czekać!

Byłem na linii Dobruckiego, wypaliłem pierwszy w jego stronę i spudłowałem. „Szofer”, mający najlepszy pistolet, położył z miejsca starostę, ale na razie tylko go ranił. „Słowik” próbował wystrzelić, ale mu się cały pistolet rozleciał [...]. A tu rozpętało się istne piekło. Stojąc pod ścianą kamienicy, walę cały bęben w stronę Dobruckiego i skurczybyka porządnie

trafić nie mogę. Rozwaliłem mu wprawdzie kolano, ale to mu nie odebrało zapalczywości bojowej. Klęcząc, wali do mnie, ale z nerwów, na szczęście, też nie może trafić.

Tynk leci mi na głowę, bo wszystkie pociski, które mnie mijają, biją w ścianę domu. Wystrzeliwszy cały magazynek, Dobrucki ładuje następny i dalej pruje w moim kierunku. [...] Zdaje się, że trafiłem go w drugie kolano, bo rozciągnął się jak długi na ziemi, przestał strzelać i zaczął się wycofywać na brzuchu.

Tymczasem ranny starosta, z przestrzeloną piersią, leżąc plackiem na ziemi, wali cały magazynek w stronę „Szofera”. W pewnej chwili słyszę jego słowa: „*Dostał mnie*”. Wprawdzie tylko noga, ale przez sam środek kości i z dużego kalibru. Wyrzuciwszy już swój rewolwer do pobliskiego sadu, wrywam „Szoferowi” visa i z dwóch kroków ładuję chyba ostatni pocisk w głowę starosty. [...]

Będąc wierni zasadzie, że kolegi nie zostawia się na pewną śmierć, porwaliśmy pod pachy rannego „Szofera” i jazda przez sady i ogrody, przez głębokie zasy śnieżne i płoty, aby tylko dalej od milicji, która zorganizowała się już do akcji i puściła się za nami w pogoń. [...] Felek robił się coraz cięższy, czułem, że to tylko kwestia czasu, kiedy pierwsze kule z pepeszek nas dosięgną.

Z pomocą przyszedł nam jednak dziwny przypadek. Otóż pod jednym z mijanych domków stały sobie spokojnie dziecinne saneczki z linką do ciągnięcia, gotowe do startu. Zobaczyliśmy naszą ostatnią szansę. Bez namysłu wsadzamy Felka na sanki, a my ze „Słowikiem”, jak para wyścigowych koni, za sznureczki i jazda z góry na pazurki!

Nareszcie udało nam się dotrzeć na główną szosę; zasuwając samym jej środkiem, zatarliśmy zupełnie tak niebezpieczne dla nas ślady. Ale koniec naszych tarapatów był jeszcze daleki, bo z rannym Felkiem nie mogliśmy bez końca uciekać. Przede wszystkim potrzebował on szybkiej pomocy, a po drugie nasze siły były już na wykończeniu, tak że było tylko kwestią czasu, kiedy wpadniemy w ręce goniących nas już teraz na całego milicjantów. Trzeba było ryzykować i to natychmiast.

Po prawej stronie drogi znajdował się potężny klasztor jezuitów. Wpadliśmy przez bramę i walimy z całych sił we frontowe drzwi. Uchyliły się na chwilę i przestraszony zakonnik zapytał nas grzecznie o cel wizyty. Dowiedziawszy się, że jesteśmy z AK, nie chciał już słyszeć dalszych szczegółów - natychmiast zaprowadził nas na drugie piętro [...]. Zakonnicy wyczyścili ranę, założyli bandażę, nawet zastrzyk przeciw tężcowi się znalazł. A czas już był najwyższy. Noga mu spuchła jak balon i dużo krwi biedak utracił.

Musieliśmy nożem rozpruć mu cholewę, bo inaczej nie można było zdjąć buta z nogi.

Gdy tylko zakończyliśmy działania z rannym „Słowikiem”, posłyszeliśmy kołatanie do drzwi frontowych. Nie było trudno się domyślić, o co nowo przybyłym tam chodzi. Milicja, nie dogoniwszy nas na szosie, zaczęła teraz kontrolować okoliczne zabudowania. [...] Jezuici zapakowali nas pod łóżka w swoich klauzurach. [...]

Milicja, choć przeszukała pierwsze piętro, do klauzury nie miała jednak odwagi zajrzeć albo też spieszyła się zbyt. Dopiero po ich wyjściu zacząłem zdawać sobie sprawę, że mamy rzeczywiście szansę wyjść cało z tych tarapatów... [...] Resztę nocy spędziliśmy u pocziwych ojców jezuitów.

Następnego poranka ofiarowano nam wspańnięte śniadanie. Zaczęliśmy już drugi dzień bez łyżki stawy w ustach, więc trudno się dziwić, że nam tak bardzo smakowała ciepła jajecznica. Ja nawet zapomniałem o swoim rozwolnieniu, z którym tak wojowałem cały poprzedni wieczór. Teraz nawet papierosy egipskie się znalazły z przedwojennego tytoniu. Na koniec pocziwi ojcowie postarali się dla naszego Felusia o furmankę z koniem i odtransportowali go do szpitala - oczywiście nie brzozowskiego - gdzie spędził jakieś trzy miesiące, zanim powrócił cały, lekko tylko

kulejący, do oddziału.

Dowiedziałem się później od ludzi, którzy czytali opis naszej akcji w „Gazecie Brzozowskiej”, że starosta zginął na miejscu, a Dobruckiego znaleziono ciężko rannego i w krytycznym stanie zabrano do szpitala. [...]

Ponieważ spędziłem parę ładnych godzin w piwiarni, zostałem rozpoznany przez kogoś i w gazecie był mój opis. Poprzednio byłem poszukiwany za dezercję z wojska, teraz przypięto mi jeszcze morderstwo. Zostałem wtedy zaocznie skazany na karę śmierci i tak mnie zaczęto szukać, że [...] znalazłem się w pierwszej dziesiątce do wyjazdu na Zachód.

GDY STRZELAŁO SIĘ do człowieka, który mówi tym samym co ja językiem, którego nieraz nawet znało się od lat, trudno jakoś było wytłumaczyć się przed własnym sumieniem. W imię czego i co nas skłaniało do popełniania czynów, które w cywilizowanym świecie równały się prawie morderstwu? Czy robiło się to „w imię Ojczyzny”, czy był to tak zwany zakres działań wojennych?

Naszym obowiązkiem był ślepy posłuch, powiązany z wrodzonym patriotyzmem. Naszym obowiązkiem było pokazać światu, że Polak nigdy się nie podda i że za „waszą i naszą wolność” będzie



ginał z uśmiechem na ustach. Ale w rzeczywistości też często, póki żył, mordował wszystkich, którzy nie byli po jego stronie lub też nie zgadzali się z jego ideami - z zupełną aprobatą naszego dowództwa.

Zdaję sobie sprawę, że przy tej lekturze można kręcić głową z niedowierzaniem i posądzać mnie o grubą przesadę. To zrozumiałe, gdy się weźmie pod uwagę, że żaden uczestnik walk partyzanckich nic na ten temat nie napisał. Nikt dziś nie chce brać odpowiedzialności za kompletne fiasko naszych działań wojennych, obecni „działacze” wolą raczej fałszować historię i wybielać wszystko w nieprawdopodobny sposób, niż rzucić światło na prawdziwe zdarzenia i ostrzec przyszłe pokolenia przed popełnieniem podobnej pomyłki.

Z każdej historii można wyciągnąć wnioski i się czegoś nauczyć, o ile wszystko opierać się będzie na prawdzie. Dlatego w tej książce piszę tylko o działaniach wojennych, w których sam brałem bezpośredni udział. Nie piszę tu o rzeczach, które mi opowiadano i których nie byłem świadkiem. Podaję tu fakty z życia prostego żołnierza Armii Krajowej.

Przez lata po zakończeniu wojny próbowałem analizować siebie samego i w końcu uznałem, że doszedłem do tego zwierzęcego stadium głównie przez moje wychowanie w młodych latach - w atmosferze do przesady patriotycznej. Każdy z nas

rodzi się jak ten prosty kamień, który można uciosać według własnego upodobania. Każdy z nas, bez względu na narodowość, jest taki sam. Gdy się dziecku wpaja od kolebki, jak ważna jest Ojczyzna i że trzeba za nią walczyć z nieprzyjacielem aż do śmierci lub zwycięstwa, to to dziecko, gdy dorośnie, będzie walczyć na rozkaz i strzelać do każdego, kto ma inne poglądy lub jest innej narodowości.

Pisząc dziś te wspomnienia, próbuję - podając różne przykłady - usprawiedliwić siebie i takich jak ja, gdy chodzi o ogromne krzywdy, jakieśmy w tym czasie wyrządzili rasie ludzkiej. Za późno dziś, by prosić kogokolwiek o przebaczenie, tak się ludziom życia nie przywróci. Niech to będzie jeszcze jedno ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń i różnych organizatorów politycznych. Niech pamiętają, że każda wojna to tragedia, że w niej zawsze giną ludzie młodzi, mający całe życie przed sobą - i to giną niepotrzebnie.



Stefan Dąbski w zachodniej strefie okupacyjnej w Niemczech, 1947.  
*Fot. ze zbiorów rodzinnych*

## WOKÓŁ *EGZEKUTORA*

CZESŁAW CYWIŃSKI PREZES ZARZĄDU  
GŁÓWNEGO ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY  
ARMII KRAJOWEJ W LIŚCIE DO REDAKCJI „KARTY”:

W związku z zamieszczeniem wspomnień Stefana Dąbskiego *Egzekutor* przesyłamy w załączeniu wypowiedź mgr. Mieczysława Skotnickiego z Tyczyna w sprawie tej publikacji.

Informujemy Państwa, iż Zarząd Okręgu Podkarpackiego ŚZZAK jest również zainteresowany ukazaniem prawdy o działaniach dywersji Armii Krajowej w ówczesnym podokręgu rzeszowskim.

W naszej ocenie wydrukowane relacje winny być zweryfikowane w świetle dokumentów i rzeczowych opracowań, bowiem obecne zaprezentowanie wspomnień świadczyć może tylko o zjawisku patologii, które, traktowane powierzchownie, może przyczynić się do przedstawienia fałszywych ocen o Armii Krajowej.

Warszawa, 18 lipca 2006

MIECZYŚŁAW SKOTNICKI ( W IMIENIU ŚZZAK)

W LIŚCIE DO REDAKCJI „KARTY”:

Jako przewodniczący Koła ŚZŻAK w Tyczynie, uczestnik Akcji „Burza” w stopniu plutonowego podchorążego, z funkcją drugiego adiutanta dowódcy Placówki AK nr 86 „Topola” w Tyczynie, obecnie w stopniu kapitana WP, stwierdzam stanowczo i jednoznacznie, że bohater wspomnień - Stefan Dąbski w każdym niemal fragmencie mija się z prawdą historyczną.

Ze względu na pewną wartość literacką wspomnień, można by poprzestać na sprostowaniu ewentualnych błędów, mimo że zdecydowanie przeczą realiom. Ponieważ jednak ich autor wciela się w inne postacie, przypisując sobie autorstwo szeregu dokonanych przez innych bohaterskich czynów, stwierdzić można, że mamy w tym miejscu do czynienia z czymś więcej niż błędem czy mistyfikacją, bo ze zwykłą, samochwalczą blagą. I tak:

1. Likwidacja dwóch oprawców z rzeszowskiego Gestapo, Semeniuka i Westenhausena, dokonana została przez sierżanta Pytułę „Jaskółka” 2 lipca 1944. Nazwisko bohaterskiego podoficera Batalionów Chłopskich znane było wszystkim żołnierzom AK i BCH na terenie placówek w

Hyżnem, Tyczynie i Błazowej. Autor wspomnień nie przytacza tego. Po co? Przecież wcielił się właśnie w jego postać... Mam powody przypuszczać, że w ogóle go nie znał.

2. Niemiecki generał lotnictwa zastrzelony został nie przez Dąbskiego, lecz przez kaprała AK z Hyżnego o nazwisku Paluch, na terenie wsi Brzezówka. Niestety, dzielny ten chłopak podeptał później swoją sławę przez wstąpienie w szeregi UB oraz dużą aktywność w zwalczaniu dawnych towarzyszy broni. [...]

3. Przypisywana sobie przez autora wspomnień likwidacja dwóch gorliwych pepeerowców w Borku Starym jest immanentnym kłamstwem. Obu tych ludzi, o nazwiskach Kępa i Krajewski, zlikwidowali sami. Nie przybyli w mundurach, lecz w roboczych ubraniach, z twarzami poczernionymi sadzą. Relację złożyła mi osobiście żona jednego z zamordowanych. [...]

4. Bohaterski udział w likwidacji załogi niemieckiego czołgu na skrzyżowaniu dróg w Borku Starym jest wymysłem, jaki mógł uzyskać prawo obywatelstwa w tłoku wydarzeń, które miały miejsce na tym strategicznym skrzyżowaniu. O jego utrzymanie walczyła niemiecka brygada pancerna oraz Sowietów, wspierani przez żołnierzy placówek AK

w Hyżnem, Tyczynie i Błażowej. W zamęcie bitewnym trudno było ustalić indywidualne bohaterskie czyny. Po bitwie zostały rozbite czołgi, kilkanaście spalonych domów. [...]

Według relacji autora, wchodził on tego dnia w skład oddziału rozpoznającego ruch na szosie dla likwidacji przejeżdżających nią pojazdów Wehrmachtu. Otóż rozkaz tego rodzaju byłby spóźniony, gdyż te rutynowe zadania przeprowadzane były regularnie - zarówno przez placówkę w Hyżnem, jak i w Tyczynie - już od 2 lipca 1944, to jest od dnia rozbicia przez „Józefa” wyprawy Gestapo na Hyżne [...]. Ten fakt cofa zresztą autor o cały rok (do 1943). Zaś z synchronizacji opisywanych przezeń wydarzeń na borkowskiej „krzyżówce” z faktycznym kalendarium przebiegu Akcji „Burza” na południe od Rzeszowa wynika, że... nastąpiły one 29 czerwca 1944. W tym czasie Placówka AK w Tyczynie zajmowała już zdobyte w otwartym boju miasto i zniszczyła dwa mosty na rzece Strug, czyniąc nieprzydatną dla ruchu wojsk szosę Rzeszów-Dynów, biegnącą przez Hyżne - i żadne dalsze rozpoznanie nie było już w tym czasie potrzebne.

W zamęcie walki, zakończonej następnego dnia przez wojska sowieckie, utonął gdzieś bohaterski czyn autora. Tylko że nikt z mieszkańców

omawianego rejonu nic o nim nie słyszał.

W świetle powyższych wyjaśnień pozwolę sobie w ogóle zakwestionować jego funkcję samodzielnego dywersanta „egzekutora”, a nawet przynależność organizacyjną do Placówki AK Hyżne. Enigmatyczna sygnatura zastosowana przezeń mówi o „Drugiej Placówce AK”, tymczasem Placówka AK w Hyżnem, kryptonim „Jaśmin”, miała numer - o ile pamiętam - 85. [...]

Autor pomija zupełnie istotny charakter najważniejszego w historii Placówki Hyżne dnia 2 lipca 1944, którego przebieg nie mógł mu być nieznany. Był to przecież faktyczny początek Akcji „Burza” na terenie Podobwodu, mimo że formalnie rozkaz do niej został wydany 24 lipca 1944. Pomija na pewno znany mu fakt, że szybka interwencja stacjonującej w Hyżnem bojówki „Józefa” doprowadziła w efekcie do uwolnienia zagarniętych uprzednio przez Gestapo w Tyczynie braci Huchlów - świeżo mianowanego porucznika Mieczysława Huchli „Wilbika” i plutonowego podchorążego Lucjana Huchli „Wiąza”. Musiał też wiedzieć, że trzeci z aresztowanych - naczelnik poczty w Hyżnem, Herr - zginął od przypadkowej kuli w czasie zaciętej walki.

Wychodząc z założenia, że ktoś opisujący tyle szczegółów z partyzanckiej przeszłości Hyżnego



musiał jednak w jakiejś postaci uczestniczyć w opisywanych wydarzeniach, rozpocząłem ankietyzację wsi Hyżne na temat, kim był i co zdziałał. Jediną pozytywną odpowiedź otrzymałem od staruszki, zamieszkałej pośrodku wsi: „*Chyba był tu taki jeden młodziak we dworze*”.

Hm! Taki jeden... Nienadzwyczajna rekomendacja jak na bohatera. Jednak uznaję to oświadczenie za prawdziwe, uzupełniając je tylko. Był... Coś tam widział, coś słyszał, resztę dofantazjował... Czy na pewno? Zapytam żyjących jeszcze towarzyszy broni, czy któryś z nich słyszał o istnieniu specjalnych „grup likwidatorskich”, działających na taką skalę, jak to imputuje Stefan Dąbski.

W Placówce Tyczyn wykonano w ciągu okupacji tylko cztery takie wyroki. Masowe strzyżenie dziewcząt romansujących z Niemcami to bzdura, a ostrzyżenie w ciągu jednej nocy aż dwudziestu dziewcząt to jakieś infantylne rojenia niewyżytego młodziaka. A poza tym - nikt tu nie pijał „samogonu”, tylko „bimber” lub „księżycówkę”! Nawet w topografii okolic Hyżnego istnieją poważne nieścisłości.

Nie słyszałem również nic o liście osób przewidzianych do przerzutu na Zachód, a jeśli taka była, to nie dotyczyła zdekonspirowanych żołnierzy AK. Nawet przerzut „Draży” - Stojewicia

[Sotirovicia], ostatniego dowódcy 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, finalizowany był indywidualnie [...]. Przyjąć raczej należy, że Stefan Dąbski odjechał na Zachód w jednym z transportów organizowanych przez bożyszcze kawiarni krakowskich kapitana Rybickiego, oficera Legii Cudzoziemskiej, sprytnego hochsztaplera, właśnie na wiosnę 1945. Koszt był duży, ale przerzut gwarantowany.

Zaś w kraju został brat, ...starszy brat, ...braciszek, na którego czekało rzeszowskie UB, więzienie i przedwczesna śmierć w wieku zaledwie 26 lat!

Na tym mógłbym zakończyć, jednak nie do pominięcia jest problem faktycznej osobowości Stefana Dąbskiego, który odsłania groźną cechę jego charakteru, a mianowicie sadyzm, do którego bez żenady się przyznaje. [...]

Ano... chyba tak! Ale czy na pewno tak? Jestem pewien, że dopóki działały placówki AK w Hyżnem, Tyczynie i Błazowej, nie wykazywał autor żadnej działalności godnej uwagi. Przeprowadzona przeze mnie szybko kwerenda wśród ostatnich żołnierzy AK nie przynosi żadnych potwierdzeń dotyczących działań „Egzekutora”. Mógł się tylko pojawić w ponurym i tragicznym okresie między zakończeniem Akcji „Burza” a rozwiązaniem AK [...].

Pozostaje jednak lej - krwawiące pobraże tych zdarzeń, pogranicze o mieszanej ludności polsko-ukraińskiej. Stefan Dąbski właśnie tam mógł realizować swe sadystyczne skłonności, pod którymś z sezonowych pseudopatriotycznych haseł. Czy znał to, które go obowiązywało: Bóg-Honor-Ojczyzna?

No i nie wiem, kogo właściwie dotyczą moje zarzuty. Czy tego nieco cynicznie uśmiechniętego chłopca z początku wspomnień „Egzekutora”, czy potężnego faceta o ponurej twarzy, w uniformie Batalionów Wartowniczych w amerykańskiej strefie okupacyjnej w roku 1947 [zdjęcie zamieszczono na końcu książki]?

Równocześnie pozwalam sobie wyrazić zdumienie, że tak rzucające się w oczy niedokładności i sprzeczności uszły wzroku historyka AK i WiN na Rzeszowszczyźnie dr. Grzegorza Ostasza, który współpracował przy opracowaniu *Egzekutora*. [...]

Tyczyn, 23 czerwca 2006

IRENA FILIPOWICZ W LIŚCIE DO REDAKCJI:

Wspomnienia Stefana Dąbskiego, pod tytułem

*Egzekutor*, mówią o moich rodzinnych stronach. Urodziłam się i wychowałam w Hyżnem, wsi gminnej w powiecie rzeszowskim. Znane mi są wszystkie miejscowości, które autor wymienia. Ojciec mój, Feliks Herr, był kierownikiem poczty - jedynej w promieniu około 6 kilometrów. [...] Matka, Kazimiera Herrowa z Pieniowskich, była nauczycielką w Hyżnem przez pięćdziesiąt lat. [...] Matka urodziła się w Dylągówce - wsi, która należała do Jędrzejowiczów, z których pochodziła matka Stefana Dąbskiego. [...]

Oboje moi rodzice należeli do Armii Krajowej. Ojciec nosił pseudonim „Hieronim”, matka - „Dalia”. W konspiracji matka była komendantką Wojskowej Służby Kobiet i organizowała na terenie Hyżnego tajne nauczanie. Do AK należeli też moi wujowie, przebywający w czasie wojny w domu rodzinnym w Dylągówce - Bronisław („Brzezina”) i Adolf Pieniowscy.

Nie ulega wątpliwości, że Stefan Dąbski był w tak zwanej grupie dywersyjnej, że na pewno brał udział w różnych akcjach, jednakże jego wspomnienia budzą duże wątpliwości, a niektóre ich fragmenty są po prostu nieprawdziwe.

Opisuje na przykład romantyczną historię miłości mojego wujka Bronisława Pieniowskiego do nikomu

nieznanej Jadzi Pierożanki z Harty, pisząc o denuncjacji do Gestapo dokonanej przez tę dziewczynę z powodu nieszczęśliwej miłości. Rezultatem tej denuncjacji miałyby być „pacyfikacja” (jak pisze Dąbski) mojej rodziny: dziadka, babci, mojej matki i jej brata, a do tego jeszcze jakichś innych krewnych i gości przebywających w naszym domu. Jest to ewidentna nieprawda. Moi dziadkowie, matka i wuj zmarli śmiercią naturalną i nie byli nigdy aresztowani przez Niemców. Nie wiem, jakim cudem, ale przez te lata okupacji, aż do „wielkiej wsypy” w końcu czerwca 1944, nikt w Hyżnem nie został aresztowany.

Przez nasz dom przewinęło się wielu ludzi z konspiracji. Znałam dowódcę placówki Hyżne Józefa Chendyńskiego i jego późniejszą żonę Czaprażankę [...]. W naszym domu przechowywał się młody Żyd - Henryk Stelzer. Moi rodzice otrzymali pośmiertnie medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Na stryszku psiej budy naszego psa Florka przechowywana była broń, której Niemcy nigdy nie znaleźli; mieliśmy także ukryte radio, a ja roznosiłam podziemną prasę.

Znaliśmy także księdza Mieczysława Bossowskiego. Rodzice byli zdania, że ksiądz Bossowski był człowiekiem gwałtownym i nieprzewidywalnym. Na pewno był bardzo aktywny w

konspiracji, choć zupełnie nie wierzę, by sam wydawał wyroki, tak jak to opisuje Stefan Dąbski.

Wątpliwa jest także prawdziwość opisu pogrzebu „Majeranka”. Nie wiem, kto to mógł być, bo takiego nazwiska ani pseudonimu nie spotkałam nigdy w okolicy Hyżnego, ale opis ten odpowiada zdarzeniom związanym z pogrzebem mego ojca. Z żołnierzy AK na cmentarzu w Hyżnem, oprócz mego ojca, Feliksa Herra, i Tadka Gajewskiego, syna wójta, nie pochowano w czasie wojny nikogo. Podobnie mija się z prawdą opis cmentarzyka w Nieborowie, przysiółku Hyżnego, bo nic takiego nie istniało i nie istnieje.

Stefan Dąbski całkowicie mija się z prawdą także, gdy opisuje likwidację komendanta milicji w Hyżnem. Z Dąbskim brał udział w tej akcji mój wuj - Bronisław Pieniowski. Może był tam także Tadek Rząsa z Błażowej, ale mogły to być plotki. Jako młoda dziewczyna byłam na rozprawie w Sądzie Wojskowym w Rzeszowie, gdzie sądzono mego wujka, a zaocznie także Stefana Dąbskiego. Wujek dostał dożywocie. Odsiadywał karę w więzieniu w Wiśniczu. Na podstawie chyba kilku amnestii wyszedł z więzienia, po czym mieszkał i pracował w Chorzowie.

Proces był poszlakowy, świadkami byli młodzi

ludzie z Hyżnego - Andrzej Starzak i Stanisław Bukała - dowiezieni na czas procesu z więzienia we Wronkach. Pamiętam tylko słowa jednego z nich: „*Bronek ze Stefanem załatwili go...*”. Słowa te wypowiedzieli podobno, słysząc strzały w lesie, ludzie z ich oddziału, siedzący w leśniczówce u Buryń. [...]

Nie pamiętam daty, kiedy Niemcy przyjechali do wsi i doszło do aresztowań. Mieli dokładną listę. Pierwszy na liście był sierżant Jan Putyło z Batalionów Chłopskich. Ranił Niemca w czasie aresztowania i uciekł. Zranionego Niemca i całą pozostałą rodzinę Putylów z czworgiem dzieci Niemcy zabrali do samochodu ciężarowego. Drugi na liście był mój ojciec. Moja matka, która była dalej na liście, zdążyła uciec już po wyjściu Niemców z domu z aresztowanym ojcem.

W domu było wielu przyjezdnych ludzi. W dniu aresztowań miał się odbyć pogrzeb mojej babci, która zmarła parę dni wcześniej (nie jest prawdą, że została zastrzelona, jak pisze Dąbski). W domu był również ukrywający się profesor Łęcznar, odbity z więzienia w Krośnie i dwaj młodzi ludzie - „Józek” i „Wiktor” - jak to się wówczas mówiło: „spaleni”. Spali w stodole i stamtąd, przez ruchomą deskę, uciekli w zboże. Profesora Łęcznara Niemcy nie zabrali. Uratowała go fałszywa kenkarta i obecność wielu

osób - uczestników pogrzebu. [...]

Po wyjściu Niemców mama wysłała mnie na placówkę do Nieborowa, żeby ostrzec o aresztowaniach w Hyżnem. [...] Po wykonaniu polecenia wróciłam do domu, gdzie nie było nikogo, bo wszyscy poszli na pogrzeb babci. Będąc na cmentarzu, widzieliśmy dym i słyszeliśmy strzały. To nasi odbijali więźniów. Nie mogliśmy wrócić do domu, obawiając się powrotu Niemców - wraz z mamą i siostrą mieszkaliśmy w Hadlach Kańczudzkich, w domu rodziny Zygałów. W tym czasie mój ojciec, ciężko ranny w głowę w czasie akcji odbijania więźniów, został przewieziony do lasu. Po dwóch tygodniach zmarł.

Mogłabym jeszcze wiele napisać o tym, co działo się dalej w Hyżnem, ale chciałam tylko sprostować nieścisłości zawarte w tekście Stefana Dąbskiego. Dziwię się, że nie opisał prawdziwie wydarzeń, w których przecież brał udział. Trudno polemizować ze Zmarłym. Przeczytałam te wspomnienia zaszokowana i przerażona. Autor wykreował siebie nie na bohatera AK, ale na okrutnego sadystę. [...]

Warszawa, 11 marca 2007

dr hab. GRZEGORZ OSTASZ, historyk:



Armia Krajowa (SZP-ZWZ—AK) odcisnęła swój ślad w naszych dziejach. Gdyby nie ona, inne byłoby oblicze dzisiejszej Polski; i zapewne całego kontynentu. Znaczenie tego wojska potwierdza liczba kilkuset tysięcy żołnierzy, choć nie sposób odtworzyć ani wszystkich jego dokonań, ani zrekonstruować składu osobowego. Konspiracja okryła zasłoną tajemnicy akcje wywiadowcze, dywersyjne, likwidacyjne... Gen. Mieczysław Wałęga (wówczas oficer wywiadu Inspektoratu AK Rzeszów) wspominał, że kierowaną przez niego siatkę informacji tworzyło niemal stu ludzi, aczkolwiek znał z pseudonimów ledwie kilkunastu; zapamiętał zaś kilku.

Oprócz dywersji, wywiadu, partyzantki, propagandy, szkoleń, konspiracja wojskowa musiała podjąć likwidację wrogów oraz zdrajców. W instrukcji specjalnej Komendant Główny ZWZ, gen. Kazimierz Sosnkowski pisał: *„Akcja represyjna jest to reakcja w stosunku do ludzi szkodliwych, tak nieprzyjaciół, jak i własnych (posunięta nawet do aktu zabójstwa). Wybór sposobu akcji skrytej, jawnej czy nawet rozgłosnej zależy będzie od potrzeb”*.

Podokręg AK Rzeszów prowadził kilka dużych akcji o charakterze likwidacyjnym. Znacząco brzmia

ich kryptonimy: „Wrzód” (na rozkaz płk. Józefa Spychalskiego akcja wymierzona w „bandy rabunkowo-terrorystyczne działające częstokroć pod płaszczykiem ideowym”), „Kośba”, „Wet”, „Główka”. Przechowany w rzeszowskim Archiwum Państwowym akowski dokument głosi: *„Na każdy wypadek wystąpienia przeciw Polakom [...] odpowiadać natychmiast i bezwzględnie, w taki sam lub podobny - ale raczej dotkliwszy - sposób”*.

Realizując „Kośbę”, późną wiosną 1944, w Obwodzie AK Rzeszów uśmiercono ponad 100 konfidentów i zdrajców; natomiast w Obwodzie Dębickim AK - 76. Zachowały się dokumenty wydarzeń. Wyrwane z kontekstu zdania mogą szokować; na przykład: *„W dniu 26 maja zlikwidowano małżeństwo [...] z Babicy”, „W dniu 30 maja zlikwidowano małżeństwo [...] W akcji została ranna służąca [...], która zmarła w szpitalu”*. A jak odnieść się do drastycznych szczegółów wykonania wyroku podziemnego Wojskowego Sądu Specjalnego na oficerach komendy Obwodu AK Mielec? Przemilczeć? Okryć tajemnicą?

Jak przebiegały owe akcje? Czy nie wykraczały poza obowiązek żołnierza? Czy likwidatorzy przeżywali wątpliwości natury duchowej? Jak te

skomplikowane zadania rzutowały na ich późniejsze losy?...

Pamiętając o upływie czasu, trudno dziś jednoznacznie ocenić postać „Egzekutora”. Sadysta czy - jak pisze sam o sobie Stefan Dąbski - smarkacz, zauroczony konspiracją, bronią, wyznaczonym zadaniem, być może kryjący w nonszalanckim, wojennym okrucieństwie strach? Może pisemna relacja to swoista forma spowiedzi przed samobójczą śmiercią autora.

Nie dysponujemy obszernymi pisemnymi relacjami innych żołnierzy podziemia z zespołów likwidacyjnych. Dobór ludzi do takich zadań wyglądał analogicznie, jak dobór do zespołów dywersji czy oddziałów partyzanckich. Podczas werbunku stawiano wymagania: „inicjatywa, orientacja, samodzielność, wysoki stan moralny, duże poczucie odpowiedzialności”.

Czy każdy spośród zakwalifikowanych mógł się sprawdzić w działaniu? Chyba nie każdy. Rzeczywistość musiała przerażać. Wszak egzekutorzy stawali przed ludźmi, o których nie wiedzieli wszystkiego, nie znali gruntownie przesłanek orzeczeń wyroków śmierci.

Władysław Strumski, dowódca dyspozycyjnego oddziału dywersji Obwodu AK Dębica, wspomina,

że jeden z jego żołnierzy załamał się podczas wykonywania wyroku na agencie Gestapo. Koledzy - których swoim wahaniem naraził na niebezpieczeństwo - uznali go za tchórza, mięczaka. W czterdzieści lat po wojnie Strumski, pisarz, skonstatował, że chyba tylko ten „mięczak” był normalny, pozostał człowiekiem. Ale, dodał, totalna wojna nie pozwalała na tego typu refleksje, na wątpliwości.

Ewidentną cechą żołnierzy dywersji akowskiej bywa wstrzemięźliwość ujawniająca się we wspomnieniach.

Niektóre fakty osłaniają milczeniem, stosują określenia zastępcze, choćby „cicha likwidacja”. O akcjach egzekucyjnych dość oględnie napomykają Andrzej Zagórski i Stanisław Dąbrowa-Kostka, od lat uznawani za autorytety w zakresie dziejów AK w Podokręgu Rzeszowskim.

Co do Dąbskiego - jego nader soczysty język, element stylu, zdradzający cechy osobowości autora, ujawnia często, że narrator dał się ponieść fantazji, gdy pisał rzecz w USA(\*). Jaką zatem ma ona wartość poznawczą?

{\* Nie wiadomo, na przykład, co Stefan Dąbski miał

**na myśli, gdy zakomunikował: o ich pierwszych trzystu chłopców, którzy byli ze mną w roku 1942” - być może skład 3wki AK Hyżne, 15 kwietnia 1944 jej stan wynosił 477 żołnierzy.}**

Stefan Dąbski („Żbik I”) jest zarejestrowany - jako Dębski - w spisach żołnierzy grupy dywersyjnej (plutonu) Placówki AK Hyżne, dowodzonej przez Ludwika Wojciechowskiego („Puchacza”). Pseudonim „Żbik I” figuruje na wniosku żołnierzy zgłoszonych do odznaczenia Krzyżem Walecznych z „D14” (14 Pułk Ułanów Jazłowieckich AK). W grupie dywersyjnej Placówki AK Hyżne funkcjonował także inny „Żbik” - ks. Mieczysław Bossowski - oraz „Żbik II”, czyli Ludwik Trojanowski. Rzecz jasna, Dąbski („Żbik I”) musiał być wcześniej od niego zaprzysiężony. Stosowana przez „Egzekutora” nazwa „Druga Placówka rzeszowska” oznacza Placówkę AK Hyżne (druga placówka Podobwodu AK Rzeszów-Południe). Podane nazwiska oraz pseudonimy są zgodne z dokumentami oraz innymi relacjami i opracowaniami(\*).

**{\* Dąbski mieszkał w Stanach Zjednoczonych, swój tekst pisał, zanim pojawiły się - z końcem lat osiemdziesiątych - wsze publikacje AK w Obwodzie Rzeszowskim.}**

Dąbski nie przypisuje sobie zastrzelenia niemieckiego generała N. Eichenleiba, który zginął w zasadzce AK pod Brzezówką koło Hyżnego, ani też zniszczenia czołgu koło Tyczyna; nadmienia, że był uczestnikiem owych akcji.

To, że Stefana Dąbskiego nie znają już prawie wszyscy - z jednym wyjątkiem - mieszkańcy stron rodzinnych, jest zrozumiałe. Przecież dość szybko zniknął stamtąd; a czas zrobił swoje. Jednak pamiętali o nim (jako synu Kazimierza Dąbskiego i Ady Jędrzejowicz) funkcjonariusze UB, założywszy specjalny kwestionariusz osobowy.

W zachowanym w IPN Rzeszów dokumencie można przeczytać: *„Szczególnie wrogą i aktywną działalność w pierwszym okresie po wyzwoleniu w podobwodzie «Żurawia» [Józefa Maciołka] przejawiali: ks. Bossowski - z parafii Hyżne (zastępca dowódcy placówki AK), Stefan Dębski [sic!] - syn obszarnika z Dylągówki, Bronisław Pieńkowski [Pieniowski] - syn nauczyciela z Hyżnego, Tadeusz Rząsa ps. «Wyskok» z Błażowej i inni. Właśnie z ich inicjatywy i na polecenie w dniu 17 listopada 1944 kilkusobowa banda uzbrojona w broń palną dokonała bandyckiego napadu na Posterunek MO w Hyżnem”(\*)*.

{\* IPN Reszów sygn. 05/41, Charakterystyka nr 23, k. 2.}

W 1945 roku z Rzeszowszczyzny emigrowało wielu niedawnych żołnierzy AK; tę formę uniknięcia represji wybierali najbardziej zaangażowani w walkę zbrojną czy wywiad. Inni dotarli na Zachód w latach następnych. Niektórzy trafili do Kompanii Wartowniczych w Niemczech okupowanych przez aliantów.

Powojenna dywersja i samoobrona polskiej konspiracji niepodległościowej obrosła legendą. Nie wnikając w nią, posłużmy się fragmentami raportu Placówki AK Błażowa, sygnowanego datą 8 lutego 1945.

„Melduję, że wykonano następujące wyroki:

Dnia 5 lutego zlikwidowano ob. Jatagana(\*). [...] Zwłoki zasypano, jednak śladów nie było można usunąć kompletnie. [...]

**{\* N.N. „Jatagan”, chorąży, pełnił obowiązki oficera wywiadu i kontrwywiadu w Placówce AK Dynów; po wojnie udowodniono mu zdradę.}**

Dnia 6 lutego zlikwidowano na terenie Przylaska (Borek Nowy) 2 konfidentów i agitatorów PPR: Kuśnierza Stanisława i Pękałę Andrzeja. Wyrok wykonano przez zastrzelenie. [...]

Dnia 7 lutego wykonano wyrok przez zastrzelenie na Marczaku(\*).

**{\* Stanisław Marczak, były członek KPP; w 1939 roku wysiedlony przez Niemców z Kalisza; po wojnie burmistrz Błażowej.}**

Akcję przeprowadziłem w samo południe w urzędzie gminnym. Udało się wspaniale. W akcji wzięła udział grupa w sile 1 plus 7. [...] Samo wykonanie wypadło brawurowo. Ponieważ w poprzedni dzień nastąpiła likwidacja w Borku, więc cała milicja wyjechała z wyjątkiem małej grupy, która była odpowiednio przed tym zajęta czym innym. Pościg zorganizował się dość późno, tak że tylko z daleka nastąpiła wymiana strzałów. Wrażenie w Błażowej bardzo dobre. Na razie przyjechało sześciu bojców, którzy z miejsca zaczęli patrolować po mieście.”(\*)

**{\* Archiwum Państwowe w Rzeszowie, zespół 108, sygn. 125, 57 „8”r 8.11.45. „88 S”. ob. IPN RZESZÓW, sygn. 05/41, Charakterystyka nr 23.}**

Czy Stefan Dąbski w swojej relacji umyślnie kłamie? Nie wydaje się, aby miał taki zamiar. Jednak, rzecz jasna, elementarne zasady warsztatu historyka wymagają krytycznego podejścia do źródła. Wszak pamięć ludzka jest zwodnicza.

Występująca w narracji Dąbskiego Jadwiga Pierożanka (Pieróg) może być przykładem tragicznych, uwarunkowanych rzeczywistością



wojenną losów kobiety. Trudno powiedzieć, czy autor *Egzekutora* zmyśla, gdy opowiada o Pierożance. Irena Filipowicz kwestionuje prawdziwość wszystkich tych faktów. Ale przecież rodzina Ireny Filipowicz nie musiała znać sercowych perypetii krewnego. A jeżeli nawet je znała, to - czy zważywszy na późniejszą groźbę prześladowań ze strony UB - nie wymazałaby takiego, niewygodnego faktu z pamięci?

Być może Stefan Dąbski myli dane osobowe Pierożanki. Być może podaje imię, którego ona zwyczajowo używała? Nie wiemy też, czy specjalnie nie zmienił personaliów swej ofiary.

Andrzej Zagórski - wspomniany, nieżyjący już żołnierz dywersji AK Obwodu Przeworsk, jeden z pionierów historiografii konspiracyjnego wojska - zwykł upominać, jak łatwo popełnić błąd, gdy korzystamy ze wspomnień. Na dowód tego sam przyznawał się do karygodnej, według niego, pomyłki w dacie. Był pewien, że jedna z akcji specjalnych, w jakich uczestniczył, miała miejsce w Wielkanoc 1943. Tę datę podawał w swoich pracach kilkakrotnie. Tymczasem, za sprawą odnalezionego dokumentu, okazało się, że owa akcja naprawdę odbyła się w listopadzie 1943, czyli pół roku później.

Czy w Nieborowie był akowski cmentarzyk, na

którym chowano poległych i zmarłych żołnierzy podziemia? A jeśli był, to czy znajdował się na „ziemi poświęconej”? Trudno orzec. Brakuje pewnych źródeł na ten temat, lecz warto powołać się tu na znany zwyczaj z różnych terenów Polski; wywodzi się on z dziewiętnastowiecznej tradycji powstańczej, nade wszystko styczniowej (1863). W każdym razie wiadomo mi o istnieniu polnych bądź też leśnych mogił akowskich partyzantów z Roztocza. Analogii odnoszącej się do Rzeszowszczyzny nie można wykluczyć.

Irena Filipowicz apodyktycznie utożsamia sierż. Jana Putyłę z formacją Batalionów Chłopskich. Rzecz jasna, częściowo ma słuszność, lecz pełna prawda wygląda niezupełnie tak. Sierż. Putyło („Wiewiórka”) w czerwcu 1944 był już w Armii Krajowej; scalenie zrealizowało się wcześniej. Inna sprawa, że kiedy wrócił z łagrów sowieckich (1947), wówczas rodowód „bechowski” służył mu za maskę, aby mógł uniknąć dalszych prześladowań.

Krytyczne, z założenia nieufne podejście do dokumentów, a zwłaszcza relacji pisanych z oddalenia czasowego, jest ze wszech miar słuszne. Ale nie powinno zmieniać się ono „z marszu” w oskarżenia o fałszowanie przeszłości, jak to uczyniła Irena Filipowicz. Sprawa nie była i nie wydaje się prosta.

W zachowanym fragmencie wykazu rannych podczas „Burzy” w Obwodzie AK Rzeszów czytamy: „Her Mieczysław (emerytowany kierownik poczty). Placówka 44. Raniony w tył głowy. Stan ciężki. [...] Po 6 dniach zmarł”. Tymczasem Irena Filipowicz pisze, że śmierć Feliksa Herra nastąpiła dwa tygodnie po ciężkim postrzale, którego doznał podczas akcji. Na szczęście inny akowski dokument, sporządzony wtedy na gorąco, donosi, że ranny ojciec Ireny Filipowicz (Mieczysław Her i Feliks Herr to ta sama osoba) zmarł „w 6 dni po operacji”(\*).

{\* G. Ostasz, A Zagórski, *Akcja „Burza” w Inspektoracie AK Rzeszów, Kraków 2003*}

Dąbski nie wspomina wielu akcji, którymi mógłby się chlępić - rzuciłyby inne światło na jego osobę. Otóż nie nadmienia o dywersji kolejowej, o zrzutach lotniczych, o działaniach partyzanckich, o wywiadzie, o zamachu na rzeszowskich gestapowców (a brali w nim udział błaznowanie), o „burzowych” walkach w Rzeszowie, choć znalazły echo w meldunku do Londynu, o głośnej próbie rozbicia komunistycznego więzienia na Zamku Lubomirskich.

Niech tę wypowiedź spuentują słowa jednego z żołnierzy dywersji AK Rzeszowszczyzny, który

przeczytał tekst Dąbskiego: „*Musiał [Dąbski] mieć odwagę, żeby takie rzeczy pisać swoim dzieciom i wnukom, ale żył w innym świecie. Ja wtedy [dwadzieścia, trzydzieści lat temu] nawet nie chciałem nic pamiętać, a moje dzieci nawet bardzo ogólnie nie zdawały sobie sprawy, że przez kilka lat miałem broń w rękach*”(\*).

**{\* Autor tych słów prosił, aby nie ujawniać jego nazwiska; chciał zachować anonimowość.}**

Rzeszów 2010